MYŚL NARODOWA

TYGODNIK POŚWIĘCONY KULTURZE TWÓRCZOŚCI POLSKIEJ

ROK XVI. Nr. 29 WARSZAWA, 12 LIPCA 1936 R. CENA NUMERU 80 GR.

O REAKCJI, „NOWEM ŚREDNIOWIECZU“ I NADCHODZĄCEJ EPOCE

I

LUBIĘ bardzo gdy jakiś ważny temat jest oświetlony z wielu stron i różnorodnie, to też choć polemiki mocno mi się już dały we znaki, wystąpienie p. Eysymontta sprawiło mi szczerą przyjemność. W ten sposób kapitalna sprawa nowej historycznej epoki w jaką wchodzimy przedyskutowana będzie dokładnie, a że za cel dyskusji nie uważam upartego wykłócania się o szczegóły, byle tylko postawić na swojem, więc i w tej mojej *quasi* odpowiedzi mówić będę jedynie o tem, co jest naprawdę ciekawe i ważne, — resztę zestawiając własnym losom, chociażby to czasem mogło wywołać mylne wrażenie, że niektórych swych słów nie potafiłbym obronić.

Zacznę od tego, co w owym sporze o „nowe średniowiecze” niewątpliwie jest najważniejsze, a mianowicie od owej reakcji, która zdaniem mego antagonisty stanowi dziś już raczej słowo bez treści i zabytek po minionej epoce. Dziś bowiem rzekomo dyskusje na temat przebudowy świata mamy już za sobą, i zbliżamy się do poglądu statycznego na świat, w którym ściśle biorąc na pojęcia reakcji jak również i rewolucji nie może być miejsca.

Ze wszystkich tych twierdzeń zgadzam się odrazu na jedno: że zbliżamy się do światopoglądu statycznego, i że on zastąpi dotychczasowy dynamiczny. Z zadowoleniem też muszę przypomnieć, że o tej ideologicznej przemianie naszych czasów pisałem już równe dwa lata temu, mówiąc na łamach „Myśli” o „Początku naszej nowoczesności” i o „Czasach stanisławowskich”, gdzie czasy saskie z ich statycznym na świat poglądem uznałem za, mimo wszystko, bliższe nam ideowo, niż owo od nich późniejsze, a wierzące w bezustanny postęp oświecenie stanisławowskie. Tu z p. Eysymonttem nie mam żadnych różnić i tu myślimy zupełnie jednakowo — ale tu też i koniec naszej zgody, którą conajwyżej możnaby trochę rozciągnąć na nadchodzącą nieaktualność pojęcia reakcji, które dziś jeszcze aktualne, z chwilą zupełnego zapanowania ideologji statycznej straci swój walor stając się historycznym zabytkiem. Jest więc i tu między nami punkt wspólny, ale już znacznie słabszy, skoro stanowczo twierdzę, że „rewolucji” ten los nie spotka, że to drugie pojęcie stale jest i będzie aktualne.

Jeśli bowiem pojęcie reakcji stanowczo wymaga istnienia dwu ideologij, dwu porządków społecznych między któremi trzeba wybierać, czy wogóle jakiejś zmiany ideologicznej — to pojęcie rewolucji, (chociaż wydawać by się mogło właśnie inaczej) bynajmniej tego nie potrzebuje. To też o ile reakcja w biegu dziejów występuje w pewnych tylko okresach, o tyle rewolucja stanowi stałą treść historji świata nowej, rzymsko-katolickiej, zachodniej, chrześcijańskiej cywilizacji.

Statyzm naszej cywilizacji, tak jak on występował w pewnych jej epokach i tak jak zapewne w nadchodzącej wystąpi, nigdy nie był owym czystym statyzmem jakiego szukać należałoby tylko na Wschodzie. Jest bowiem w samem założeniu naszej kultury pewien element dynamizmu, który stale i niezmiennie występuje, narzucając historjozoficzne ujęcie naszych dziejów, jako niewątpliwego pochodu, jeśli już nawet nie postępu. O ile świat cywilizacji chińskiej jest bez zastrzeżeń statyczny, bo w stałości porządku świata obowiązek człowieka wyczerpuje się tam w dążeniu do własnej litylko doskonałości, która oczywiście w ramach istniejącego porządku najzupełniej da

się osiągnąć — o tyle nasz nim być tak całkowicie nigdy nie może, ze względu na to, że u nas obowiązkowi dążenia do własnej doskonałości towarzyszy jeszcze i drugi: troszczenia się także o doskonałość bliźnich, o ich zbawienie, o Królestwo Boże na ziemi. Ten nakaz nieuchronnie powoduje dynamizm historji, bo choć światopogląd nie uzna potrzeby dyskusji nad tworzeniem nowego, innego ładu, to jednak stale stawia problem dyskusji nad sposobami realizacji owego powszechnego zbawienia, całkiem już doskonale Bożego świata, i zachęca a nawet zmusza do ciągłego szukania nowych, lepszych dróg, sposobu owej realizacji, co praktycznie w wykonaniu nie będzie niczem innem jak właśnie budowaniem nowego ładu.

Rodzi się więc dylement: dobro czy lepsze? i konieczność odpowiedzi na to pytanie. Socjologicznie oznacza to możliwość rewolucji, podjętej dla doskonalszego przeprowadzenia stałych, odwiecznych celów, których się nie zamierza zastąpić nowemi. Taka jednak rewolucja w wyglądzie dziejowym bardzo mało się różni od światopoglądowej, a socjologicznie posiada takie jak tamta przejawy i cechy. To też średniowiecze pełne jest podobnych rewolucyj, będących oczywiście równocześnie herezjami. Nie chcąc być gołosłownym, zwrócę uwagę na największą i najbardziej typową z nich, a więc husytyzm. Ruch husycki, argumentujący że Kościół zdradził swe posłannictwo i dążący do „prawdziwego" Chrystusa, nie był ściśle biorąc rewolucją światopoglądową, jak późniejsza natchniona przez odrodzenie reformacja, ale mimo to radykalnie chciał zmienić życie i współczesną sobie teraźniejszość. Możnaby za przykład dać jaką inną rewolucję, bo ich nie brak, ale wybrałem tę, bo jej skutki do dziś są żywotne, a dla narodu czeskiego stała się wydarzeniem najdonioślejszem i największem w jego dziejach.

Były więc w średniowieczu rewolucje, choć nie głosiły, że chcą nowy świat budować i raczej powoływały się na coś dawnego, bo pierwsze chrześcijaństwo. Mimo jednak tej rozbieżności zawołań i haseł budowały one jak i wszystkie późniejsze świat nowy i znaczyły się ostrym buntem w stosunku do istniejącego porządku, który w swoich czynach, niby tylko naprawiając, negowały. Nie znam książki Huizingi i trudno mi wobec tego zająć jakieś stanowisko wobec przytoczonego przez p. Eysymontta ustępu, ale wydaje mi się że ów uczony zbyt kategorycznie orzekł, że w średniowieczu „idea świadomego wysiłku ku ulepszeniu i reformie instytucyj politycznych i socjalnych nie istniała". Zwłaszcza wydaje mi się to zbyt ostre, gdy chodzi o te sprawy socjalne, które tkwią tak mocno w husytyźmie i wielu innych herezjach; — według mnie, podobna idea niewątpliwie wtedy istniała, chociaż mówiła innym niż dzisiaj językiem. Huizinga ma rację, jeśli chce powiedzieć, że w średniowieczu nie było wiary w magiczną wartość instytucyj dla świata i w ich absolutną moc realizacji społecznego dobra, bo źródło tego dobra widziano wtedy słusznie w samym człowieku, ale jeśli rzeczywiście jest tylko tego zdania co cytowane, to chociaż jest profesorem uniwersytetu w Leydzie, nie mogę pójść za jego autorytetem.

Mówiąc w poprzednim artykule o teraźniejszości, przeciwstawiałem reakcję rewolucji, ale gdy chodzi o średniowiecze tego przeciwstawienia niema; jest jedynie to drugie — reforma czy rewolucja. Jeśli chodzi o czas rozkwitu średniowiecza i prawdziwego panowania jego światopoglądu—to w tym czasie rzeczywiście reakcji nie ma. Trudno bowiem za reakcję uznać samo pokonywanie rewolucji, będącej dopiero w trakcie, samą dążność do utrzymania owego tradycyjnego „dobre" zamiast narzuconego „lepiej". Takie postawienie sprawy byłoby niesłuszne i mylne, skoro prawdziwą reakcją jest tylko to, co wykoleja przez jakieś cofnięcie się (zrazu oczywiście tylko myślowe) ów niewątpliwy pochód dziejów. Tu zaś tego nie obserwujemy, bo w tych średniowiecznych wypadkach „reakcji" chodzi tylko o udaremnienie prób pewnego przeinaczenia biegu dziejów. Jeśli np. w Anglji Plantagenetów opanowano ruch lollardowski, to przez to utrzymano tylko dotychczasowy stan rzeczy, — jeśli zaś Chateaubriand zachwycał się średniowieczem, to chciał przez to na jego wzór przerabiać swoją teraźniejszość, nie licząc się z tem że to zgoła syzyfowa praca. Średniowieczni „reakcjoniści" stali więc mocno na gruncie tego co jest, udaremniając tylko różne próby jego zmieniania, — wczorajsi zaś i dzisiejsi, ci prawdziwi, wręcz odwrotnie są chimerykami, dążącymi do zmiany, a nie orjentującymi się w tem co już jest i co zostanie ani w drogach jakie do istotnej zmiany zawieść potafią.

II

Mówię: „dzisiejsi reakcjoniści", bo dzisiaj są oni jeszcze i może dopiero jutro ich zabraknie. Dziś, jak w każdej przełomowej epoce jest grunt podatny dla reakcji i jej myślowego partactwa. Chwila gdy światopoglądy się zmieniają i gdy od przyszłości wymaga się tak wiele, żądając by nietylko była lepsza, ale i inna, gdy więc trzeba sobie tę jej inność wyobrazić, jest psychologicznie jaknajbardziej sprzyjająca reakcji. To zaszczytny (bo „gdy więcej wrogów, tem większa chwała zwycięstwa") przywilej wszystkich przełomowych epok, które coś kończą i coś zaczynają.

Nie można bowiem w naszej dzisiejszości widzieć samego tylko początku czasów nowych, dla którego spadek minionej epoki jest mniej lub więcej martwy. Takie myślenie, to właśnie myślenie reakcyjne, (czy też rewolucyjne, bo to na jedno, gdy nie precyzować, wychodzi) z jego łudzeniem się, że coś rzeczywistego może być zaprzeczone, a nie przerobione. W naszej epoce żyje jeszcze poprzedzająca i ona jest także, a może i przedewszystkiem końcem tamtego okresu. To że myśl bieży już nowym szlakiem i zerwała z przeszłością, nie może przeszkodzić temu, że życie jeszcze idzie i dawnym i nowym. Jest tu pewien dualizm, którego pokonanie da dopiero prawdziwy początek nowemu, — narazie jeszcze ten początek musi zwyciężać koniec. Nasze czasy to te, które równie dobrze należą do jednej jak drugiej epoki — elementy obu się tu plączą. I jak w XVIII-tym wieku, wieku magji i oświecenia konał ostatecznie średniowieczny porządek, a rodził się nowy, tak i dziś kona ów, w tamtych czasach powstały, by dać życie nowemu, narażając ludzkość na odwieczne w takich chwilach pokusy.

Taka epoka jest historycznie ciekawa i zachęca do zestawień i porównań, do których nasuwa się nie samo tylko oświecenie. Podobnie było

i przed ugruntowaniem się średniowiecza, gdy Juljan Apostata chciał zniszczyć dzieło Konstantyna, albo u nas Masław Mieszka I-go. Te pogańskie reakcje to wskaźnik przełomowości tych czasów i ich ideowego rozstaju. Później gdy trzon ideowy już się ustalił, reakcji brak i nanowo pojawia się ona dopiero z Savonarolą, tą tragiczną postacią Odrodzenia. Barok niesłusznie został opatrzony tą etykietką, bo był epoką twórczą i szukał dla katolickiej cywilizacji nowego wyrazu, a więc usiłował rozwiązać to samo zadanie przed jakiem dzisiaj stoimy.

Nowa epoka ma być bowiem epoką wielkiej katolickiej cywilizacji i tu jej pokrewieństwo ze średniowieczem, ale pokrewieństwo jedyne. Pokrewieństwo też choć zasadnicze, zbyt jednak wątłe, by usprawiedliwiać ów bierdiajewski tytuł „nowego średniowiecza". Nowa ta epoka, epoka, której my chcemy i o którą walczymy, raczej przypominać będzie barok swem pozytywnem ustosunkowaniem się do świata i ten okres historyczny najwięcej chyba analogij do niej nastręczy.

Filozofowie katoliccy, traktujący o tej epoce i zastanawiający się nad możliwościami jej nadejścia, na tę jej „laickość" zwracają baczną uwagę. Teolog niemiecki Rademacher, którego dzieło świeżo na nasz język przełożono[1]), traktując o jedności religji i życia, drogę dla przyszłości widzi w ochrzczeniu i przechrystjanizowaniu dzisiejszej świeckiej i bezbożnej kultury, co określa jako religijno-aktywistyczny tryb życia w przeciwieństwie do panującego w średniowieczu religijno-mistycznego. Ten ostatni światopogląd został bezpowrotnie zburzony przez renesans i dziś nie ma warunków do jego wskrzeszenia; jedność życia i religji dać może tylko ów drugi, czyli że ład chrześcijański trzeba dziś budować na renesansie i oświeceniu, a więc tych prądach, które zaprzeczyły średniowieczu. Średniowiecze misję swą wypełniło i dziś należy do przeszłości, i to już bezpowrotnej, bo nowa cywilizacja katolicka na jego idei ściśle biorąc się nie oprze i je przypominać będzie tylko tą ogólną cechą jedności religji i życia.

O trafności tych uwag Rademachera, a raczej tych wniosków co się z jego książki nasuwają możnaby wiele jeszcze mówić, ale warto zwrócić na jedno uwagę. Mianowicie w podobny sposób ujmuje rzecz Bierdiajew, a więc twórca frazesu o „nowem średniowieczu" określając chwilę dzisiejszą jako „śmierć renesansu". Tylko, że Bierdiajew, typowy Rosjanin i umysłowość nawskroś wschodnia i nieeuropejska, nie może zrozumieć tego, że kona dziś tylko pogański renesans, a droga do Boga w świecie nie prowadzi li tylko przez mistycyzm, ale przez chrześcijańskie życie w świecie do którego właśnie powołał nas Pan Bóg. Stąd pesymizm w bierdiajewowskiej książce i stąd proroctwo o nowem średniowieczu, przez wizję starego, w którem bezsprzecznie dominował typ mistyczny, choć daleki od tego, jaki królował we wschodnich cerkwiach, bo zwrócony do świata, a nie widzący w nim tylko grzechu. Typ mistyczny życia tymczasem nie wydaje się drogą do przyszłości i nowa katolicka cywilizacja bydzie musiała być aktywistyczną, a więc szukającą Boga w świecie i jego zadaniach, a nie świata w rzeczach Boskich,—jeśli będzie próbowała pójść tamtą, średniowieczną drogą, to nie nadejdzie wcale, jak nie nadeszła w samym początku ubiegłego stulecia.

[1]) Dr. Arnold Rademacher, prof. teologji w Bonn: „Religja a życie" Św. Wojciech 1936 — stron 220.

III

Jest bowiem w historji pewna ciągłość, której człowiek całkowicie przerwać nigdy nie potrafi, a która polega na tem, że każda z dziejowych epok musi stanowić pewnego rodzaju ciąg dalszy poprzedzającej i to chociażby usiłowała jej zaprzeczyć i rzeczywiście nawet przeczyła. Poprostu nie leży w ludzkiej mocy oderwać się od nurtu dziejowego i naprawdę ten nurt przeciąć; człowiek tak czy owak musi iść za nim. Nie ma tu jednak nic z owej kategoryczności praw przyrody, bo na to nie pozwala wolna wola ludzka i stąd błąd owych zeszłowiecznych teoryj *à la* Buckle i Taine, przesadnie wyolbrzymiających pewne zresztą rzeczywiste cechy. Człowiek prowadzi historję i to jest w niej czego on pragnie, ale też człowiek dziedziczy historję i stąd jego wobec niej bezsilność. Jest więc człowiek kowalem swego losu, ale w granicach określonych wolą Bożą. Tak jak nikt nie może zmienić swych przodków, tak i dzisiejszość historyczna nie może się oderwać od swego wczoraj.

A nasze wczoraj, to wiek XIX-ty i to wszystko co w nim chcemy naprawić czy zmienić, — to jest materjał do naszej budowy i miejsce z którego zaczynamy swój pochód. Drogi jak zawsze są dwie: droga „tak" i droga „nie", „zła" i „dobra" z kierkegaardowskiem „albo — albo" wyboru. Dobra, to afirmacja tego świata w tym sensie, że trzeba go przywrócić Bogu i przepoić myślą Bożą, oczyszczając ze wszystkiego co z ideą chrześcijańską niezgodne, a więc afirmacja przez negację. Zła, to iść dalej po szlakach niewiary, by przez tę bezmyślną, bezkrytyczną afirmację utonąć w końcu w komunistycznej negacji owego świata, będącej w swojej istocie tylko ostatniem stadjum procesu, zaczętego już dawno przez rozłączenie religji i życia, ale stadjum bynajmniej nie koniecznem, bo mogącem być zastąpionem przez tamto wyjście. Innych możliwości nie ma[2]), i inne drogi, jako nie wychodzące z teraźniejszości, tylko na manowce zaprowadzą. My zaś błądzić nie możemy, bo zadanie nasze trudne, a cała cywilizacja dzisiejsza pchnięta na równię pochyłą, którą łatwo się stoczyć do komunizmu, a ciężko wrócić do Boga i Jego myśli i ładu w świecie.

Nie jest więc średniowiecze tą epoką, do której należałoby chodzić po nauki i studjum dokładne jego myśli i instytucyj nie wiele wzorów nam przyniesie. Jeśli sama wizja świata urządzonego w zgodzie z Bogiem była nam potrzebna, to średniowiecze rolę swoją już spełniło, jako przykład podobnego porządku, jako dziejowy dowód, że ten porządek jest możliwy; — dziś już nie ma po co zbyt się niem zajmować i w niem natchnień szukać. Jeśli potrzebne jest doświadczenie historji, to lepsze da barok, tak zaktualizowany skargowską rocznicą i tak rzeczywiście aktualny. Była to bowiem pierwsza i niemal zwycięska próba

[2]) Trzeba pamiętać o tem, że mistyczno-religijny światopogląd średniowiecza, nawet jeśli uznać go za wyższy od aktywnego, czego nie robię, nie jest możliwy po okresie krańcowego humanizmu; ochrzczony humanizm może być tylko religijnym aktywizmem, na mistykę nawrócić go się nie da.

ochrzczenia renesansu i aktywiczno-religijnego podejścia do świata. Święty Ignacy Loyola, tworzący milicję jezuicką, ów zakon tak w swoich zadaniach świecki, dla świeckich ludzi pomyślany, chcący kształcić działaczy i polityków, a nie samych księży — więcej nauczy w dobie propagowania apostolstwa świeckich, niż przepiękny św. Franciszek z Asyżu, (mimo jego trzeciego zakonu) czy płomienny św. Dominik. Również św. Franciszek Salezy, autor „Filotei", przewodnika pobożności dla ludzi świata, więcej jest aktualny niż średniowieczna mistyka. Skarga ze swoim „Bankiem Pobożnym" może w gospodarczych sprawach być również doradcą, obok nieśmiertelnego św. Tomasza. Słowem wszyscy ci ludzie, idący z hasłami Boga na zdobycie świata i jego życia, są dla nas w dobie, gdy milicję jezuicką wesprzeć ma inna — akcji wszystkich wiernych—bardzo na czasie i bardzo bliscy.

Wystarczy też mówić katolicyzm, bo katolicyzm zawsze ma pełną treść, byle go czerpać u samych źródeł. Encykliki papieży, pisane z troską o dzisiejszość, więcej tu pomogą niż studja nad wiarą średniowiecza. Im przecież nie brak troski o łączność religji i życia i wszystkie bolączki świata są w nich poruszone. Sama „*Summa*" św. Tomasza niewiele by nam rozjaśniła zadania gospodarcze bez „*Rerum Novarum*" i „*Quadragesimo Anno*".

Niech więc średniowiecze nie będzie dla nas hasłem i wzorem, ale tylko pierwszą epoką katolickiej kultury, a więc kultury nam podobnej i przez to bliskiej. Niech nas uczy, gdzie nauczyć może (np. ustrój stanowy), ale niech nie wypacza swoim urokiem naszych dążeń do lepszego jutra.

KAROL STEFAN FRYCZ

GEOGRAFJA TALENTÓW I ELITY

II

ROZPATRZMY teraz, jak przedstawią się stosunki po rozbiorach w w. XIX i XX. Oczywiście, obok dawnych rodów: Czartoryskich, Małachowskich, Potockich, Radziwiłłów, Sapiehów, Zamoyskich, występują nowe nazwiska nie senatorskie, nawet nie szlacheckie (Staszic, Borelowski, Langiewicz, Smolka, Zyblikiewicz). Ale zmiany bywały i dawniej, zwłaszcza w Koronie ten ruch widać całkiem wyraźnie. Zmieniały się i zmieniają osoby i rodziny, czy jednak rozbiory zmieniły charakter i typ narodu? Zestawienie liczbowe przeczy temu. Badając pochodzenie wodzów, polityków, organizatorów widzimy, że stosunki dalej utrzymują się, może owszem jeszcze jaskrawiej się zaznaczają. Bo oto na rodziny wielkopolskie wypada 31,0% historycznych osobistości, na małopolskie 37,6%, mazowieckie 11,4%, razem więc na rodziny pochodzenia odwiecznie polskiego 80,0%, natomiast ruskiego 16,7%, litewskiego zaś 3,3%. Ogólne cyfry zadziwiająco zgodne z przeszłością. I tu znów, jak za dawnej Rzeczypospolitej, widzimy dwa źródła umysłów kierowniczych, mianowicie Wielkopolskę i Małopolskę, z przewagą niezbyt dużą tej ostatniej. Mazowsze dalej przedstawia się ubogo. Charakterystyczny jest spadek rodzin litewskich na korzyść ruskich, zapewne pozostaje to w związku z ogólnem cofaniem się elementu litewskiego.

Również rzecz charakterystyczna, że mimo utraty państwowości dalej ujawnia się proces asymilacji elementów cudzoziemskich. Pod naszemi sztandarami powstańczemi walczą jako wodzowie Francuzi (Dumouriez, Rochenbrun), Włosi (Ramorino, Nullo), inni jak flamandzkiego pochodzenia Hauke, niemieckiego Traugutt, córka Rosjanina Pustowojtówna, z przekonania i czynów byli Polakami.

Uderza natomiast, że spośród żydów, od tylu wieków żyjących w Polsce, z których wielu przyjąwszy chrzest zdobywa indygienaty szlacheckie, niektórzy nawet godności senatorskie (pierwszy Jan (Abrabam) Józefowicz—herbu Leliwa, podskarbi wielki litewski w 1510 r.), poza znanym z manifestacyj rabinem Majzelsem i starozakonnym do śmierci pułkownikiem kościuszkowskim Berkiem Joselowiczem, (który w swej dziwnej karjerze zginął w r. 1809 pod Kockiem w niższej randze szefa szwadronu szaserów Księstwa Warszawskiego), żaden nie wszedł do podręczników historji. Działają głównie na polu finansowem, ale raczej anonimowo, zza pleców innych. I w rozmaity sposób.

*

Inaczej natomiast przedstawi się sprawa, gdy ugrupujemy wymienione osobistości nie wedle gniazd rodowych, lecz wedle terenu bezpośredniej działalności. Jak wiemy, ziemie litewskie, — a zwłaszcza ruskie były terenem ekspansji żywiołu polskiego. Kolonizacja nabytych pustkowi zaczęła się od Rusi Czerwonej, najwcześniej, bo od Kazimierza Wielkiego złączonej trwale z Polską. Z kolei „zdobycze pługa polskiego" przesuwały się coraz dalej na wschód, obejmując Podole, Wołyń, wreszcie Ukrainę. Zwłaszcza robocza a bitna ludność jałowych piasków mazowieckich chętnie ciągnęła w żyzne, choć niepewne, ziemie wschodnie, chętnie przenosiła się tam rozrodzona szlachta małopolska, dochodząc fortun i znaczenia historycznego.

Zestawienie historycznych osobistości wedle sadyb wykaże odmienne stosunki. Od wieku XVI do upadku państwa rody polskie stanowią 71%, ruskie 21,7%, litewskie 7,5%; — natomiast rody utrzymujące się na ziemiach Polski etnograficznej stanowią tylko 45,2%, na ziemiach ruskich 43,0%, w Litwie etnograficznej 11,7%. „Królewięta" tedy stanowią większość 54,8%. Zwłaszcza jaskrawo zaznacza się ta przewaga w wieku XVII, w okresie buntów kozackich i potopu, gdy na potentatów litewsko-ruskich wypada 65%, z których mniej niż połowa jest miejscowego pochodzenia. Najsilniej widać tę przewagę na ziemiach ruskich, których wielmoże stanowią w tym czasie większość wśród osób kierujących dziejami Rzeczypospolitej (57,5%), a wśród tych większość stanowią przybysze (blisko 57%).

Wśród wodzów kozackich widzimy nietylko szlachtę, ale pierwszy wybuch prowadzony jest przez mazura, Krzysztofa Kosińskiego, a zwraca się przeciw prawosławnemu ruskiemu magnatowi, kniaziowi Bazylemu Ostrogskiemu z rodu Rurykowiczów, najgłośniejszy zaś ze zbuntowanych wodzów kozackich Bohdan Chmielnicki wywodził się z Mazowsza a pieczętował Habdankiem.

W następnem stuleciu, gdy po pokoju Grzymułtowskiego Rzeczpospolita na stałe straciła lewobrzeżną Ukrainę z Kijowem, stosunki się zmieniają: procent historycznych osób na ziemiach ruskich spada do połowy, a przewagę mają znów ziemie rdzennie polskie (56,7%). Rzecz charakterystyczna, że zwrot ten zaznacza się w drugiej połowie XVIII stulecia, w epoce saskiej poza królem Stanisławem Leszczyńskim, kasztelanem Stanisławem Poniatowskim i pijarem ks. Stanisławem Konarskim nie spotykamy wybitniejszych osobistości.

Ale w ciągu omawianego trzechsetlecia widzimy też różnice na ziemiach rdzennie polskich. Gdy historyczne rody wielkopolskie stanowią 29,2%, mazowieckie 16,9%, małopolskie 53,8%, we własnych dzielnicach wybijające się rodziny stanowią 38,1%, 14,3% i 45,2%. Widać z tych cyfr większą ruchliwość i rozmach Mazowszan i Małopolan, a zadomowienie Wielkopolan, którzy mniej chętnie przesiedlają się między obce żywioły.

*

Trudniejsze zadanie, gdy z dziedziny właściwej historji wojenno-politycznej przejdziemy w dziedziny życia duchowego i twórczości kulturalnej. Tu bowiem działają jednostki mniej potężne, należące do rodzin, których historja jest często mało znana.

Wielkie rody przeszły do historji i mówią o nich monografje, herbarze i t. d. Wprawdzie w wieku złotym często nobilitowano nietylko na polu bitwy, ale i za twórczość naukową i literacką, lecz genealogje są mniej pewne, a znamy przecie liczne utwory poezji rybałtowskiej i ludowej, których autorowie nawet z imienia nie są znani. Daty w tej dziedzinie są mniej liczne, więc i nasze wywody będą mniej liczne i mniej pewne. O Hussowskim wiemy, że pochodził z Łańcuta w ziemi przemyskiej, czy jednak pochodził z ludności polskiej miejscowej lub przybyłej, czy może był *„gente Ruthenus"*,—nie wiadomo. Nobilitację Marcina Kromera z Biecza podaje „Metryka koronna", znamy też nietylko równocześnie uszlachconych braci, lecz i dawniejsze generacje mieszczańskie w Krakowie i innych miastach województwa, czy wywodzą się oni jednak z kolonistów niemieckich, napewno nie wiemy.

Z uwagi na dziedziczność talentów, które mogą się dziedziczyć tak po mieczu, jak po kądzieli, trzebaby jeszcze dalszych specjalnych studjów monograficznych, a tych mamy dotąd bardzo niewiele. Dzięki badaniom Kozłowskiego możemy przypuszczać, że Henryk Sienkiewicz swój talent pisarski wziął po matce z rodziny Cieciszewskich. Słowacki odziedziczył i skombinował zdolności, zdaje się, po obojgu rodzicach, podobnie jak właściwości rasowe[1]).

[1]) Jak można sądzić z portretów, Euzebjusz Słowacki był subnordykiem, a Salomea z Januszewskich przednioazjatyckiej (armenoidalnej) rasy, co w skombinowaniu (zgodnie z teorją prof. Czekanowskiego) daje typ dynarski u Juljusza.

Po tych zastrzeżeniach i ograniczeniach spróbujemy zestawić dostępny materjał, zaczynając od twórczości literackiej.

I tu widzimy ogromną przewagę pisarzy, wywodzących się z rodzin rdzennie polskiego pochodzenia. Pomijając nielicznych pisarzy obcego rodu, choć często nietylko spolszczonych, lecz nawet typowo polskich (np. Wincenty Pol), a którzy stanowią niespełna 7% ogółu, wśród pozostałych trzy ćwierci (75,2%) stanowią pisarze, których rodziny wywodzą się z ziem etnograficznie polskich, choć wielu z nich wcześnie przeniosło się na wschód (np. Rejowie, Krasiccy, Fredrowie, Słowaccy).

Pisarze wywodzący się z rodów ruskich stanowią nieco nad 11%, białoruskich nad 3%, litewskich prawie $10^1/_2$%. Kultura duchowa polska dokonywa zdobyczy wolno, spokojnie i etapami. W okresie złotym mamy dwu poetów z pogranicza polsko-ruskiego (Pawła z Krosna i Mikołaja Hussowskiego z Łańcuta), z przemyskiej ziemi pochodzi też Stanisław Orzechowski, *„gente Ruthenus, natione Polonus"*, którego jednak raczej do polityków i publicystów zaliczyć należy. Polskich poetów czerwonoruskich mamy dopiero w epoce Wazów (Szymon i Bartłomiej Zimorowicze), litewskiego pochodzenia dopiero w epoce saskiej (J. Baka), Ruś Czarna wystąpi jeszcze później, w okresie romantyzmu dopiero, ale odrazu zdobywa szczyty (Adam Mickiewicz)[2]). Stosunki więc zbliżone do poznanych poprzednio w dziedzinie historycznej. I tutaj, jak w dziejach Rzeczypospolitej od epoki Jagiellonów, kulturę naszą dokładnie w $^3/_4$ budują żywioły rdzennie polskie, a w $^1/_4$ litewsko-ruskie.

Natomiast wyraźnie zaznaczą się różnice w obrębie poszczególnych ziem. Na ziemiach wschodnich wśród osobistości o znaczeniu historycznem rody ruskie trzykrotnie dominują nad litewskiemi, w dziedzinie literatury pięknej przewaga ta jest o połowę mniejsza, stosunek wynosi nie jak tam 1 : 3, lecz 2 : 3. Przypuszczam, że wiąże się to z silniejszem zespoleniem Litwy z Polską w dziedzinie religijnej, gdy prawosławie na Rusi utrudniało rozwój wspólnej, swoistej, renesansowej literatury. Zapewne też nie sprzyjały pracy literackiej częste niepokoje na Dzikich Polach i Ukrainnych kresach[3]).

Ale stosunki odmienne zaznaczają się bardzo wyraźnie na ziemiach etnograficznie polskich. W historji na czoło wysuwa się Małopolska, Mazowsze zaś przedstawia się nader ubogo. Tu przewaga Małopolski jest nieznaczna, a Mazowsze dorównywa Wielkopolsce. Okrągło biorąc, wypadnie na Małopolskę 36%, na Wielkopolskę i Mazowsze po 32%, a gdy się uwzględni zaludnienie, musi się przyznać prym Mazowszu. Przytem inna cecha charakterystyczna, oto już w okresie złotym

[2]) Według Brücknera także Mickiewicze, mimo legendarnego pokrewieństwa z Gedroyciami, są szlachtą mazowiecką osiadłą na ziemi czarnoruskiej, stąd u Adama „cechy narodowości polskiej i litewskiej, dziwnie utemperowane, docierały do kresu doskonałości". („Dzieje literatury polskiej" t. II, s. 56).

[3]) Cywilizacyjna działalność Polski nie łączyła się zupełnie z jakiemś tępieniem kultury miejscowych ludów. W podręcznikach szkolnych literatury ruskiej dla szkół średnich nie znajduję w tym okresie żadnych nazwisk poetów ruskich. Były to więc kulturalne ugory.

Mazowsze nie jest jakąś pustką kulturalną, przeciwnie ma swych poważnych przedstawicieli (Sarbiewski z ziemi ciechanowskiej, Szarzyński z płockiej, Szymonowic z rawskiej). Wyjaśnienie tych różnic widzę z jednej strony w tem, że gdy historją, mimo teoretycznej równości szlacheckiej, kierują wielomoże, literatura dostępna jest dla szerokich sfer, czynna w niej przedewszystkiem szlachta, właśnie tak obfita na Mazowszu i Podlasiu, a nawet, zwłaszcza w okresie złotym, jak i najnowszych czasach, szersze sfery ludowe. Z drugiej znów strony, sądzę, wchodzi tu w grę jeszcze inny czynnik decydujący o specjalnych uzdolnieniach, mianowice właściwości psychiczne ras, które, jak wiadomo, rozmaicie są rozprzestrzenione na naszych ziemiach. Bo oto w jakim procencie poszczególne dzielnice dostarczyły poetów w kolejnych okresach w związku z panującemi prądami w w. XIX:

	Wielkopolska	Małop.	Mazowsze
Pseudoklasycyzm	30,7	8,7	29,9
Romantyzm	21,7	26,1	17,4
Pozytywizm	22,7	4,7	31,8

Warto też może wspomnieć, że gdy w okresie złotym pisarze pochodzenia nieszlacheckiego stanowią mw. połowę, w pierwszej połowie wieku XVII nie dochodzą już nawet 15%, by potem na długie lata zniknąć z pisanej literatury pięknej niemal w zupełności, a wejść z powrotem dopiero w okresie romantyzmu.

(Dok. nast.) LUDWIK JAXA—BYKOWSKI

ŻYCIE IMITUJE SZTUKĘ

I

CZY PAMIĘTACIE djalog Oskara Wilde'a p. t. „Zanik kłamstwa"? Rzecz dzieje się na schyłku wieku dziewiętnastego. Esteta i hedonista Vivian (inkarnacja autora) w bibljotece wiejskiego dworu w Nottingamshire, rozmawiając w letnie popołudnie z przyjacielem Cyrylem, udawadnia mu paradoksalne twierdzenie, że natura naśladuje sztukę w znacznie wyższym stopniu, niż sztuka życie:

„Wielki artysta stwarza pewien typ, a życie stara się go naśladować, reprodukować w formie popularnej, niby przedsiębiorczy wydawca. Ani Holbein, ani Van Dyck nie znaleźli w Anglji tego, co nam dali. Typy swe przynieśli z sobą, a życie dzięki żywej zdolności naśladowczej dostarczyło mistrzom modeli. Grecy wiedzieli o tem, posiadali bowiem intuicję artystyczną, i w komnacie panny młodej ustawiali posąg Hermesa lub Apollina, by patrząc na dzieła sztuki w chwilach rozkoszy i bólu, wydawała na świat dzieci równie piękne. Wiedzieli, że życie przyjmuje od sztuki nietylko wyraz uduchownienia, głębię myśli i uczucia, spokój duszy i udrękę, lecz także w linji i barwie stosować się może do sztuki i odtwarzać zarówno godność Fidjasza jak i wdzięk Praksytelesa... To samo tyczy się też piśmiennictwa. Najżywszą, a zarazem najtrywialniejszą ilustracją będzie tu zachowanie się owych głupich wyrostków, co przeczytawszy przygody Jacka Stepparda lub Dicka Turpina plądrują następnie stragany nieszczęsnyah haudlarek owoców, wdzierają się nocą do cukierń, lub przywdziawszy czarne maski, w przedmiejskich dzielnicach nienabitemi rewolwerami straszą starych gentlemanów, wracających z miasta. To ciekawe zjawisko powtarza się regularnie po każdem nowem wydaniu jednej z wymienionych książek; ogół przypisuje je zwykle wpływowi literatury na wyobraźnię. Twierdzenie to jest jednak błędne. Wyobraźnia jest przedewszystkiem twórczą i ciągle szuka dla siebie nowych form. Owi chłopcy awanturnicy są poprostu nieuniknionem następstwem naśladowczego instyktu życia. Są przejawem życia zawsze i wszędzie kopiującego sztukę; a to samo powtarza się, w szerszym oczywiście zakresie na całej linji życia. Schopenhauer dał analizę pesymizmu, charakterystycznego dla umysłowości współczesnej, ale stworzył pesymizm Hamlet. Świat stał się smutny ponieważ marjonetka nakręcona przez Szekspira chorowała kiedyś na melancholję. Nihilista, ten dziwny męczennik bez wiary, idący na kaźń bez entuzjazmu i umierający za coś, w co nie wierzy, jest produktem jedynie literackim. Stworzony został przez Turgeniewa, a wykończony przez Dostojewskiego. Robespierre wyłonił się z kart Rousseau'a. Poezja zawsze wyprzedza życie. Nie kopiuje go, lecz przetwarza, stosownie do swego celu. Wiek dziewiętnasty taki, jakim go znamy, jest w znacznej mierze wynalazkiem Balzac'a. Nasi Lucjani de Rubempré, Rastignac'owie i de Marsay'owie pojawiają się najpierw na scenie „*Comédie humaine*". My tylko uwagami i zbytecznemi dopiskami uzupełniamy kaprys, fantazję, lub wizję twórczą wielkiego powieściopisarza. Pytałem kiedyś serdeczną przyjaciółkę Thackeray'a, czy Becky Sharp kreślona była podług modelu. Objaśniła mnie, ze Becky jest wytworem fantazji, lecz psychologję charakteru do pewnego stopnia podsunęła poecie jakaś guwernatka, pełniąca obowiązki damy do towarzystwa u strasznie egoistycznej i bogatej starej damy w okolicach Kensington Square. Zapytałem o dalsze losy guwernantki; okazało się, że dziwnym trafem w parę lat po ukazaniu się „Targowiska Próżności" guwernantka owa uciekła z synowcem starej damy i przez pewien czas budziła w towarzystwie ogromną sensację, stylem postępowania przypominając absolutnie Mrs. Rawdon Crawley. Ostatecznie się wykoleiła, wyjechała na kontynent,[1]) od czasu do czasu widywano ją w Monte Carlo i innych jaskiniach gry. Ów zaś szlachetny jegomość, który Thackeray'a natchnął pomysłem postaci pułkownika Newcome, umarł w parę miesięcy po ukazaniu się czwartego wydania „*Newcomes*", a ostatniem jego słowem było: „*Adsum*". Albo inny przykład: Wkrótce po ogłoszeniu przez Stevensona zajmującej psychologicznej opowieści o metamorfozie, jeden z moich przyjaciół, nazwiskiem Mr Hyde, bawiąc właśnie w północnej dzielnicy Londynu, a chcąc jaknajprędzej dostać się na stację kolejową, obrał jakąś boczną drogę i zabłąkał się w labiryncie wąskich uliczek o podejrzanym wyglądzie. Zdnerwowany począł biedz bardzo szybko, gdy nagle z sąsiedniej przecznicy wypadło dziecko i zaplątawszy mu się koło nóg, runęło na bruk, a on nie mogąc się zatrzymać w biegu, nadepnął na nie. Z przerażenia a trochę także i z bólu dziecko zaczęło krzyczeć, W jednej chwili cała ulica zaroiła się od ludzi ordynarnych. Otoczyli go, pytając, jak się nazywa. Miał właśnie wymienić nazwisko, gdy nagle przypomniał sobie podobne zajście w powiastce Stevensona. I świadomość, że oto sam przeżył tę tak świetnie napisaną scenę, popełniwszy przypadkiem to, co ów Mr. Hyde z opowieści uczynił był umyślnie, takim go

[1]) Marja Feldmanowa tłumaczy: zniknęła z kontynentu

napełniła strachem, że począł co tchu uciekać. Oczywiście rzucono się za nim w pościg, aż ostatecznie schronił się do apteki, której drzwi stały otworem. Tu młodemu jakiemuś prowizorowi wytłumaczył, co zaszło. Humanitarny tłum za okupem pieniężnym odstąpił od oblężenia, a wtedy przyjaciel mój opuścił schronisko. Wychodząc rzucił okiem na mosiężną tabliczkę, błyszczącą na drzwiach apteki. Wyczytał na niej nazwisko: „Jekyll"...

Życie staje przed sztuką ze zwierciadłem i kopjuje niezwykły jakiś typ, stworzony przez rzeźbiarza lub malarza, albo też czynem urzeczywistnia marzenia poety. Wyrażając się filozoficznie, podstawą zycia, energją życia jakby powiedział Arystoteles — jest poprostu walka o wyraz odpowiedni. Sztuka ustawicznie stwarza najrozmaitsze formy, umożliwiające osiągnięcie tego wyrazu. Życie je chwyta i przetwarza, choć często na własną szkodę. Młodzi ludzie popełniali samobójstwa, ponieważ Rolla był samobójcą, odbierali sobie życie, ponieważ Werther to uczynił... Któż, jeśli nie impresjoniści stworzyli te cudne mgły, co się wloką po naszych ulicach?.. Ogromna zmiana, jaka w ciągu ostatnich lat dziesięciu zaszła w klimacie Londynu, jest jedynie i wyłącznie dziełem tej szkoły artystycznej... Natura nie jest pramatką, która nas zrodziła, lecz naszym produktem. Nasz to mózg powołuje ją do życia. Rzeczy istnieją, ponieważ my je widzimy, a co widzimy i jak widzimy, zależy od sztuki, której wpływowi ulegamy. Wielka to różnica, czy na jakąś rzecz patrzymy, czy też ją widzimy. Wcale jej nie widzimy, dopóki nie dostrzegamy jej piękna. Wówczas dopiero, jedynie wówczas rozpoczyna się jej istnienie. Obecnie ludzie widzą już mgły, nie dlatego jednak, że one istnieją, lecz dlatego, że poeci i malarze objawili im tajemnicze piękno tego zjawiska. Prawdopodobnie mgły istniały w Londynie od wieków. Twierdzę to nawet z całą pewnością. Ale nikt ich nie widział... Póki ich sztuka nie odkryła. Obecnie stały się istną plagą. Pewna klinika (malarska) zupełnie na tym punkcie się zmanjerowała, przesadnym realizmem swej metody wywołuje wprost u ubogich duchem bronchit. Tam gdzie człowiek kulturalny znajduje rozkosz artystyczną, osobnik niekulturalny nabawia się kataru".

II

A teraz porównajcie z ustępem rozstrzelonym powyższego wywodu (który skróciłem, według przekładu Marji Feldmanowej, tu i ówdzie zgrubsza przekład ów poprawiając) następujące zdanie Chestertona, zaczerpnięte z jego powieści p. t. „Napoleon z Notting Hill":

„Istnieje pewne prawo, zapisane w najciemniejszej Księdze Życia, a mianowicie: możesz oglądać jakąś rzecz dziewięćset dziewięćdziesiąt dziewięć razy i nic ci nie zamąci spokoju, a kiedy spojrzysz na nią po raz tysiączny, grozi ci straszliwe niebezpieczeństwo, że zobaczysz ją po raz pierwszy".

Przypomnijcie sobie treść Chestertonowej powieści:

Akcja jej rozgrywa się w niezbyt dalekiej (z punktu widzenia wiekuistego) przyszłości: pod koniec wieku dwudziestego. Świat, a przynajmniej Anglja, ma już dosyć reform. Stracono wiarę w możliwość rychłego naprawienia życia. Duch rewolucyjny zaniknął. Rozpowszechniło się przekonanie, że życie może się zmieniać jedynie przez powolną przyrodniczą ewolucję. Zatracono wiarę w skuteczność walki. Armji Anglja już nie posiada. (Z tego faktu możemy się domyślać, że cały świat również został rozbrojony). Londyn zachował jeszcze podobieństwo do Londynu nam współczesnego. Życie ściśle unormowano. Jest bardzo nudno. Urząd króla zachowano. Ale król nie posiada wpływu na życia. Godność tę z dziedzicznej zmieniono na elekcyjną. Wyboru jednak dokonuje się nie przez głosowanie, lecz poprostu przez losowanie. Królem może zostać pierwszy lepszy obywatel, na którego padnie los. Otóż królem zostaje niejaki Oberon Quin, młody urzędnik. Jest to młodzieniec obdarzony poczuciem humoru. Pewnego razu spotkał na ulicy chłopczyka, bawiącego się „w wojsko". Spotkanie to nasuwa królowi pomysł przywrócenia w Londynie staroświeckich halabardników, murów warownych, podziału miasta na grody. Zostają wznowione oddawna zaniechane ceremonje. Burmistrze poszczególnych dzielnic angielskiej stolicy otrzymują wspaniałe uroczyste kostjumy. Król Oberon rzucił hasło wskrzeszenia patrjotyzmu poszczególnych gmin miejskich, ponieważ heraldyczna maskarada go bawi. Mijają lata. Adam Wayne, ów chłopaczek, którego dziecinna szabelka podsunęła Oberonowi pomysł wskrzeszenia średniowiecznych obrzędów, wyrósł na mężczyznę. Żart humorysty wziął on na serjo. Został najszczerszym patrjotą dzielnicy Notting Hill. Obrano go jej burmistrzem. Z godności owej jest dumny. Urząd sprawuje wzorowo. Gdy dwie sąsiednie dzielnice postanawiają przeprowadzić nową ulicę przez środek Notting Hillu i poburzyć stare budowle, Adam zakłada uroczysty protest, powołując się na żartobliwy „Przywilej miast", wydany przez kawalarza Oberona. Burmistrze dzielnic sąsiadujących z Notting Hillem, poważni kupcy, dbający przedewszystkiem o interesy handlowe, nie są w stanie skruszyć uporu bezkompromisowego idealisty. Wybucha wojna domowa. Dzielnice Londynu walczą z sobą przy pomocy starożytnych mieczów i halabard, gdyż inna broń oddawna nie istnieje. Przeciwnicy Notting Hillu posiadają ogromną przewagę sił materjalnych. Pomimo to Wayne, ożywiony gorącem przywiązaniem do rodzinnego zakątka, dwukrotnie odnosi nad nimi zwycięstwo. Stare budynki Notting Hillu ocalały. Pokonane dzielnice sąsiednie przejmują się pod wpływem poniesionej klęski ideologją patrjotyczną Wayne'a. Idea patrjotyczna odżywa w narodzie. Wygasła oddawna miłość do ojczystego kawałka ziemi płonie we wszystkich sercach nanowo. Nottting Hill ma zasługę olbrzymią; on pierwszy ze wszystkich dzielnic ideę ową odnowił, ale Notting Hill pierwszy również sprzeniewierza się tej idei: wystarczyło dwudziestu lat, żeby patrjotyzm zwycięskiego Notting Hillu przeistoczył się w tyrański imperjalizm. Mieszkańcy owej dzielnicy chcą

„wtrącać się do wszystkiego, rządzić wszystkimi i cywilizować wszystkich, pouczać każdego o tem, co jest dla niego dobre".

Nic dziwnego, że oburzają przeciwko sobie mieszkańców wszystkich innych dzielnic. Przeciwko tyranji Notting Hillu wybucha bunt. Adam Wayne w nowej wojnie domowej ponosi klęskę.

Niedowierzając (może niesłusznie) polskiemu przekładowi powieści, którym pisząc ten artykuł rozporządzam, posługuję się tu również streszczeniem Wacława Borowego, zawartem w jego książ-

ce p. t. „Gilbert Keith Chesterton". Według Borowego:

„w roztrzygającej bitwie ginie Adam Wayne „Napoleon Notting Hillu" i stary król Auberon Quin, który walczył u jego boku. I oto wśród nocy na pobojowisku toczy się rozmowa „dwóch głosów". Auberon Quin, jak grzesznik, spowiadający się *in articulo mortis*, wyznaje, że cała konstytucja grodów londyńskich była dla niego farsą. Ale Adam Wayne odpowiada mu z niezamąconym spokojem: ta farsa przyniosła światu dobro, a między humorystą i patetycznym miłośnikiem niema antagonizmu: łączy ich jedność wyższego rzędu: stanowią oni jakby dwie półkule tego samego mózgu, mózgu zdrowego, pospolitego człowieka".

Tak streszcza zakończenie powieści p. Borowy. W przekładzie p. Janiny Popławskiej ani Wayne, ani Oberon nie giną. Dyskutują na pobojowisku, jako ludzie żywi, a o świcie, wziąwszy miecz i halabardę, ruszają na wędrówkę po świecie.

III

Kiedy do Warszawy nadeszly pierwsze ogólnikowe wiadomości o wydarzeniach myślenickich, o „rozbójniczym napadzie szajki Doboszyńskiego", usłyszałem z ust pewnego wybitnego działacza politycznego, który w mojej obecności przeczytał był właśnie w gazecie komunikat Polskiej Agencji Telegraficznej, wyrażenie:

— Obłęd kanikularny.

Przez kilka dni następnych wyrażenie powyższe obijało mi się o uszy natrętnie raz po raz. Słyszałem je wielokrotnie w redakcjach paru czasopism, w kilku kawiarniach, u fryzjera, w teatrze, w tramwaju i na ulicy, bądź to z ust znajomych, z którymi o tej sprawie rozmawiałem, bądź też z ust osób nieznanych, przygodnych sąsiadów lub mijanych przechodniów.

Jestem najmocniej pewien, że olbrzymia większość indywiduów, wyrażenie to powtarzających, do dnia dzisiejszego nie zdaje sobie sprawy, iż jest ono cytatą z „Napoleona z Notting Hill'u". Nie ulega najmniejszej wątpliwości, że nie zdawali sobie z tego: sprawy ani poczciwa staruszka, u której zaopatruję się zazwyczaj w zapałki i papierosy, ani zacny właściciel razury, u którego się stale strzygę, ani sympatyczny konduktor autobusu, którym podróżowałem z placu Zbawiciela na plac Napoleona. Żadna z wymienionych tu osób powieści chestertonowskiej nie czytała. Umyślnie je o to zapytywałem.

Wyrażenie „obłęd kanikularny" znaleźć można łatwo na 84 stronicy polskiego wydania „Napoleona z Notting Hill'u". W drugim rozdziale księgi drugiej używa tego wyrażenia Mr. Buck, bogaty kupiec towarów łokciowych i zarazem Lord Wysoki Burmistrz szlachetnego i wiernego miasta Północnego Kensingtonu, informując króla Oberona Quina o szaleńczym proteście młodzieńca nazwiskiem Adam Wayne przeciwko pogwałceniu zagwarantowanego konstytucyjnie „Przywileju miast".

Wiemy wszyscy bodaj z artykułów dziennikarskich, że Adam Doboszyński jest żarliwym wielbicielem twórczości świeżo zmarłego wielkiego angielskiego pisarza, że znał Chestertona osobiście, że książka Doboszyńskiego p. t. „Gospodarka narodowa" zawiera myśli pokrewne myślom chestertonowskim, że niewątpliwie w licznych wypadkach poglądom Chestertona Doboszyński zawdzięczał twórczą inspirację zarówno jako pisarz, jako też jako działacz polityczny, że bezpośrednio po śmierci Chestertona ogłosił w miesięczniku pod symbolicznym tytułem „Bunt Młodych" gorące wspomnienie poświęcone swemu mistrzowi. Czyż wobec tego nie musi nas zastanawiać osobliwy zaiste zbieg okoliczności, iż przywódca rokoszu myślenickiego ma na imię Adam, akurat tak samo jak przywódca powieściowego powstania w Notting Hill, że podobnie jak Wayne przez długi stosunkowo czas stawiał zwycięski opór akcji policyjnej, że wyruszając na „wojnę" podobno przebrał się dziwacznie, że podczas pojmania został ranny w rękę oraz że — jak donosiło jedno z pism — zdarzyło się to pod drzewem?

Oczywiście między epopeją myślenicką a urojoną wojną nottinghillską istnieje bez porównania więcej różnic niż podobieństw. Adam Wayne był burmistrzem, Adam Doboszyński prezesem organizacji politycznej. Notting Hill to jedna z gmin stolicy Anglji, Myślenice (Małopolska) to stolica powiatowa. Wayne zwyciężył przeciwników po paru bitwach i został pokonany dopiero po dwudziestu latach, Doboszyński z garsteczką towarzyszy odnosił sukcesy drobne i wykręcał się zaopatrzonym w karabiny maszynowe i samoloty siłom rządowym zaledwie przez kilka dni, ale w każdym razie przypadkowe analogje są zadziwiające.

Ze wszystkich podobieństw najbardziej zadziwiają i zdumiewają niektóre podobieństwa pomiędzy stanem politycznym jaki panował bezpośrednio przed wystąpieniem Wayne'a w powieściowej Anglji Chestertona, a stanem politycznym wczorajszej rzeczywistej Polski:

„Jak tyle innych rzeczy w Anglji, tak i dziennikarstwo pod kierunkiem rządu i jego filozofji rozsądku... stało się cokolwiek ospałe, a wpływ jego zmniejszył się bardzo. Działo się to w znacznej mierze dzięki temu, że z rządu zniknęły wszystkie partje polityczne oraz ustały publiczne debaty... Najważniejszą jednak przyczyną było usposobienie całego narodu, który był w stanie zupełnej stagnacji, jak stojąca woda..."

Zadziwiające są wreszcie podobieństwa między refleksjami, jakie zdarzyło mi się w ostatnich dniach słyszeć parokrotnie z ust młodych narodowców, rówieśników i przyjaciół Adama Doboszyńskiego, a temi refleksjami, jakie pod koniec powieści (gdy przegrana Wayne'a stała się już nieunikniona) snuje w napisanym przez siebie artykule publicystycznym Oberon Quin:

„I czyż nie dziwne, że odkąd się zaczęło uważać tę sprawę za nieodwołalnie straconą, patrzy się na nią pod zupełnie innym kątem widzenia. Ja, naprzykład, zawsze uważałem Wayne'a za człowieka zręcznego. Ale teraz, kiedy wiem, że jest nieodwołalnie zgubiony, nic dla mnie nie istnieje na świecie poza Waynem. Wszystkie ulice zdają się kierować do niego, wszystkie kominy skłaniają się w jego stronę. Zdaje mi się, że jest to uczucie chorobliwe, lecz ulica Pompy jest jedyną ulicą w Londynie, którą odczuwam fizycznie. Jeszcze raz powtarzam, że musi być w tem coś chorobliwego. W podobny sposób człowiek musi odczuwać swoje serce, gdy ma je chore. Pump-Street—ulica Pompy— i serce jest pompą. Ale zaczynam bredzić".

W chwili gdy piszę niniejszy artykuł termometr wskazuje czterdzieści stopni w cieniu. W głowie mi brzęczą kalambury chestertonowskie. Notting Hill... Nothing ill... Nic złego... Myślenice... Myślę... Nic... Nic złego...

STEFAN GODLEWSKI

KASPROWICZ O SZTUCE GORKIEGO

W czerwcu 1903 r. Tadeusz Pawlikowski wystawił w teatrze lwowskim dramat Maksyma Gorkiego „Na dnie”. Sprawozdawcą teatralnym był wtedy w „Słowie Polskiem” Jan Kasprowicz. Premjera odbyła się w sobotę 13 czerwca. Kasprowicz jako dziennikarz nie był zbyt rychliwy. Recenzję dał dopiero we wtorek 16 czerwca (nr. 274), jak zobaczymy tylko tymczasową, odkładając obszerniejszą na później. Czy ją dał, trudno na razie powiedzieć, brak bowiem w Warszawie rocznika „Słowa Polskiego”. Ponieważ jednak w wydaniu kompletnem dzieł Kasprowicza, dokonanem przez prof. Kołaczkowskiego niema i tego pierwszego sprawozdania, przeto je przedrukowujemy z n-ru 274, który nam przypadkiem się zachował. Przedruk tembardziej jest wskazany, że właśnie teraz zmarł Gorkij i jest rzeczą interesującą, co myślał o jego sztukach nasz poeta.

Oto tekst recenzji w rubryce „Z teatru“:

ZANIM z premjery sobotniej „Na dnie” sprawę zdam obszerniejszą, ograniczę się do kilku zasadniczych uwag:

1) Nowy dramat Gorkiego, w strukturze scenicznej urągający wszelkim prawidłom szablonowym (na modłę francuską), jest wewnętrznie zbudowany znakomicie.

2) W malowaniu zewnętrznych obrazów życia, w danym wypadku rozwijającego się w środowisku najgorszych szumowin społecznych (z tego nie wynika, aby wszyscy ci oberwańcy, szulerzy i złodzieje byli i pod względem moralnym istotami całkowicie zepsutemi), nie ustępuje dramat ten „Mieszczanom”, posiada równie głęboki podkład psychologiczny, a przewyższa tych ostatnich pod względem symbolicznego rozszerzenia pewnych warunków specjalnych na życie wogóle.

3) W ideowem i uczuciowem pojęciu tego życia hołduje Gorkij i tutaj krańcowemu pesymizmowi, prowadzącemu do zupełnego znihilowania różnic moralnych (niema ludzi ani złych ani dobrych), a upostaciowanemu przedewszystkiem w aktorze, który, grany więcej refleksyjnie, aniżeli to uczynił p. Solski, pojmujący go bardziej realnie, niż symbolicznie, byłby się niewątpiwie na pierwsze wysunął miejsce (dzięki wadliwej interpretacji p. Solskiego jest on tylko epizodem) i „wstrętny” obraz nędzy przypadkowej, „umiejscowionej“, podniósłby i dla oka widza do znaczenia ogólno-ludzkiej tragedji.

4) W tej ogromnie smutnej, tragikomicznej farsie życiowej (to jest zasadniczy pogląd Gorkiego na świat i jego sprawy), w wir tej cuchnącej, brudnej, obdartusowatej arlekinady, której rozwiązaniem jest sznurek wisielca, rzucił pisarz rosyjski figurę, znaną poniekąd z „Mieszczan”, a przedstawiającą spokojne wyrzeczenie się wszelkich od losu uroszczeń.

Wyrzeczenie to niema jednakże, jak w Ptaszniku z „Mieszczan”, charakteru całkowicie biernego, przeciwnie, od samego zjawienia się „wędrownika” Łukasza na deskach, widać w nim mistyczne dążenie do nieuświadomionego ideału lepszych, szlachetniejszych warunków bytu (dążenie wyrażone w wzmiance o wynalezieniu gdzieś nowej wiary). Czynnik to równoległy aktorowi, niestety i w grze p. Chmielińskiego zamało podkreślony.

Ażeby sztuka naprawdę wstrząsające wywarła wrażenie, potrzeba więc przedewszystkiem odmiennej gry — potrzeba, ażeby rolę p. Solskiego wziął kto inny (wyobrażam sobie, że odpowiedniejszym byłby p. Kamiński), albo żeby p. Solski w roli swej widział nietylko „zatrutą alkoholem” duszę prowincjonalnego, wrzaskliwego aktora.

Analogiczne uwagi uczynić należy p. Chmielińskiemu: „Wędrownik” Łukasz nie jest tylko postacią realną (pierwiastek przeważający w grze tego utalentowanego artysty), ale—w głównej mierze—wyobraża on znaną u pisarzy rosyjskich mistyczną tęsknotę ku wyzwoleniu.

Co do innych wykonawców ról, to naprawdę doskonałą, wprost świetną postać „batiara” stworzył p. Feldman (on najplastyczniej ze wszystkich grających pokazał, czem mogą być gorkijowskie figury); wyborną „Nastką” z Sieniawszczyzny była p. Solska, natomiast nieco więcej powściągliwości w głosie powinien był zachować p. Wysocki. Dużo temperamentu (zupełnie na miejscu) i odpowiedniego w roli tej „rozmamrania” okazała p. Rotterowa (Wasilica Karpowna jest jedną z najlepszych jej aktorskich kreacyj), ubawił publikę łobuzowaty szewczyna p. Nowacki, jakkolwiek i ten oberwaniec ma w sobie „smutek życia”, czego wesoły p. Nowacki nie zaznaczył ani jednem drgnięciem powiek. Natomiast tym razem nie bardzo mi się podobał p. Roman (który czy nie umiał, czy zaniedbał uwydatnić znowu owego smutku, czy żalu do świata i ludzi, w duszy złodziejskiego syna Wasyla Popioła a główny nacisk kładł na jego temperament). Blado też wyszedł typowy spólnik złodziei i wesołych gamratek, policjant Miedwiediew, w interpretacji p. Węgrzyna.

P. Kamiński prawie że nie grał wcale, choć pyszną stworzył sylwetę zewnętrzną; „przyzwoitym” utrzymywaczem schroniska był p. Kwiatkiewicz, artysta sumienny i w zakresie swym bardzo użyteczny.

Inne drobniejsze role wykonali poprawnie pp. Węgrzynowa, Hierowski, Kliszewski, Antoniewski, Rybicka.

P. Bednarzewska tym razem nie zadała sobie zbyt dużo trudu — szkoda, bo liryczny jej talent ma wszelkie dane, aby z Natalki mimo ogólnikowego jej rysunku u Gorkiego, jakieś pełniejsze, żywsze wydobyć kształty.

Tego rodzaju sztuki, gdzie uwagi widza nie wiąże ciekawość, czy Numa wyjdzie za Pompiljusza, ale których siła polega na szczegółach ideowych i uczuciowych, muszą być grane z subtelną akuratnością przez wszystkich, jeżeli misterna robota autora nie ma się wikłać w guzy i kłęby.

Dobrze zaaranżowane były sceny zbiorowe, a pomysł, zdaje się, reżyserji (sam przez się wyborny), każący przy końcu aktu drugiego „rozbrzmiewać” nad rozszalałym tłumem (scena mordowania Kostylewa) „dźwiękom” szewckiej harmonijki, byłby jeszcze większe sprawił wrażenie, gdyby pan Nowacki trochę więcej zachował miary w łobuzowatości.

Powtarzam, że i „Aleszka”, jak każdy „zmarnowany”, jest według pojęcia Gorkiego człowiekiem—smutnym.

JAN KASPROWICZ

NA WIDOWNI

— „Źródło rozbioru Polski" K. M. Morawskiego. — Podwójne oblicze Rokoka. — Wiek XVIII i Polska. — Morawski jako historyk i pisarz.

„...NIEKTÓRZY zręczni chemicy wynaleźli sposób wysubtelniania, wyszlachetniania i „odduchowiania" złota tak dalece, że cząstka tej jego „duszy" może być doprowadzona do drobniutkiej postaci. „Dusza" ta czy też raczej ten ekstrakt złota uchodzi powszechnie za „tynkturę"; bierze się jej cząstkę, miesza się z rtęcią lub ołowiem, ona je wtedy ożywia i przemienia w złoto" — pouczał króla Stanisława Augusta Poniatowskiego, w memorjale na jego osobisty użytek przeznaczonym, wielki mistrz pierwszej Wielkiej Loży Polskiej, August Moszyński. Hrabina Cosel „rozwodzi się z mężem, gdyż — jak twierdzi w procesie rozwodowym — niewierny sługa zaczarował jej łóżko i szaty". Markiza de Pompadour, gawędząc z głośnym okultystą ówczesnym, de Saint-Germain'em, jest przeświadczona, iż rozmówca jej żyje już lat dwieście kilkadziesiąt, że przed laty pięćdziesięciu był „podobniusieńki do dzisiejszego", ponieważ posiada eliksir młodości, „zadziwiający w skutkach"...

Oto kilka obrazków, ukazujących umysłowy poziom słynnych postaci historycznych „epoki oświecenia", owo „podwójne oblicze Rokoka", tak po mistrzowsku odsłonięte w najnowszej pracy Kazimierza Marjana Morawskiego, p. t. „Źródło rozbioru Polski" [1]). Z każdego rozdziału, z każdej stronicy niemal tej niezwykłej książki coraz wyraźniej ukazuje się nam intelektualny i moralny wizerunek stulecia, które — jak jeden z czołowych jego przedstawicieli, Fryderyk Wielki, król pruski — „nie wierzyło w Boga, ale zato w duchy", stulecia, w którem prymasi (Podoski) potrafili być równocześnie... wolnomularzami, a faworyta królewska (markiza de Pompadour) mogła pozostawać w „wybornych stosunkach" z ...królową, stulecia przekupstw, zdrad, „sekretów" monarszych, przeciw własnym poddanym obmyślanych, stulecia „bractw wrogów wstrzemięźliwości", ordynarnych i rozwiązłych, organizowanych przez Regenta, Filipa księcia Orleańskiego w Paryżu, przez Augusta Mocnego w Dreznie, przez Fryderyka Wilhelma I w Berlinie...

Trzeba zdać sobie sprawę z ideałów i ducha wieku, który o śmierć przyprawił Rzeczpospolitą, w którym owa stara Polska, z jej ustrojem i pojęciami, była czemś tak odmiennem, anachronicznem, wyjątkowem, że poprostu nie mogła się ostać, a próby „przystosowania" jej, upodobnienia do obowiązującego stylu epoki przyśpieszały jedynie jej katastrofę. Może lepsze poznanie XVIII stulecia, wartości jego cywilizacji i jej gatunku, we właściwszem świetle ukaże to w dawnej Polsce i jej urządzeniach, co „wiek rozumu" krytykował, reformował, — i czego był przeciwieństwem...

*

Nietylko Polsce nieswojo było w wieku osiemnastym, ale i wiek ten źle się czuł z nią i ustawicznie pracował nad jej zagładą. Stulecie magów i okultystów, misternych intryg i swobodnych obyczajów, było stuleciem uczniów „Natana mędrca" i Kabały, tajnych sekt różokrzyżowców, związków wolnomularskich. W mrokach lóż przygotowywano i urzeczywistniano plany rozbiorów Rzplitej, którą „ukryte siły" i moralność epoki skazywały na zniszczenie. Czytając źródłowe, na ostatnich zdobyczach wiedzy oparte dzieło Kazimierza Marjana Morawskiego, nie jeden raz przypominałem sobie owo, genjalną intuicją podyktowane spostrzeżenie Mickiewicza („Literatura słowiańska", rok pierwszy, lekcja XLI):

„Filozofowie, stojący wtedy na czele ruchu europejskiego... niemniej gwałtownie i złośliwie nastawali na Polskę. Najsławniejszy spomiędzy nich, Wolter, fałszował dzieje, żeby usprawiedliwić jej rozbiór, winszował królowi pruskiemu, carowej rosyjskiej i gabinetowi austrjackiemu, że ją zniszczyli. Tenże Wolter jednak ubolewał razem nad losem Żydów, myślał, jakby odbudować królestwo judejskie i świątynię w Jerozolimie dla zadania kłamstwa proroctwom. Posądzono go, że był zaprzedany Rosji, — zdaje się wszakże, iż nienawiść jego była bezinteresowna, logiczna i chęć w nim zagłady Polski pochodziła stąd, skąd projekt podźwignienia Jerozolimy".

*

Kazimierz Marjan Morawski swe studja historyczne rozpoczynał pod kierownictwem b. p. Szymona Askenazego. Z najgorętszem uznaniem, kreśląc przedmowę do pierwszej z prac naukowych swego ucznia [2]), wychwala w nim autor „Łukasińskiego" „roztropne baczenie", oraz „narrację smakowną, przejrzystą, zwięzłą". I dziś, kiedy metody badawcze Morawskiego tak się wydoskonaliły i pogłębiły, gdy jego wiedza jako dziejopisarza tak imponująco wzrosła, pod jednym względem zachował on jakgdyby niejakie podobieństwo z monografistą „Przymierza polsko-pruskiego". Oto, tak samo jak Askenazego, interesują go w dziejach nietyle „ruchy mas", dążności i przeobrażenia wielkich społeczności narodowych, ile raczej skryte konszachty gabinetowe, polityka dworów, zawiłości gry dyplomatycznej, intryga. Niewątpliwie, daje to w wyniku pewne zacieśnienie, jednostronność, w tym wypadku atoli sprawia, że Kazimierz Marjan Morawski — jak nikt inny ze współczesnych historyków polskich — predystynowany jest do wykrywania „tajemnych sprężyn", oświetlania roli rozmaitych „zagadkowych osobistości", co tak złowrogo zaciążyły na losach Polski w owych tragicznych latach jej upadku. W tej dziedzinie rzucił jasny snop światła i na fakty nieznane, i częstokroć — dla rozmaitych względów — świadomie pozostawiane w ukryciu. Po jego pracy, jakże trudnej niejednokrotnie, pionierskiej, droga dalszych poszukiwań historycznych jest — w pewnym kierunku przynajmniej — wytyczona.

*

Autor „Źródła rozbioru Polski" jest jednakowoż nietylko znakomitym badaczem dziejów, ale świetnym pisarzem. Jego proza, barokowo ozdobna i bogata, posiada w sobie jakiś autentyczny, nie dający się podrobić smak staropolszczyzny. Raz po raz okraszające ją, nie cytaty nawet, ale jakby

[1]) Kazimierz Marjan Morawski: „Źródło rozbioru Polski", Poznań 1935. Księgarnia św. Wojciecha, str. 367, z ilustracjami.

[2]) Kazimierz Marjan Morawski: „Ignacy Potocki", Kraków i Warszawa, 1911, str. 142, z ilustracjami.

napomknięcia, świadczące o wyjątkowej kulturze literackiej i zadziwiające trafnością zastosowania, sprawiają czytelnikowi radość estetyczną, jaką dać może dzieło o wysokim gatunku artyzmu. Plastyka, wyrazistość poszczególnych obrazów bywa chwilami wprost zadziwiająca. Oto np. urywek z rozdziału o „kondotjerze z Belwederu" (ks. Eugenjuszu Sabaudzkim):

„Z wyżyn Kahlenbergu 11 września 1683 r. zobaczył „*Prinz Eugen*" raz pierwszy stolicę późniejszej swojej chwały. Górami, lasami szła „Odsiecz" wielkiego króla, gąszczem i ostępem, przepaścią i wąwozem...

Miasto zaś.. wytrzymało już pięćdziesiąt trzy szturmy, dokonało zgórą trzydziestu sześciu wycieczek, już „Burg" stał w dziurach, już pięćdziesiąt pocisków w czcigodnego trafiło „Stefana", w wesołym zwykle i schludnym Wiedniu panował strach, głód i obrzydliwość spustoszenia.

Eugenjusz nie spał i wzrok miał wlepiony w przeciwległą wyniosłość, przyszły swój Belweder. Nie spał także i Jan III, bo spać było niesposób od armatniego huku. A nad ranem, że to przecie była niedziela (święto — cud, jak nasze nad Wisłą, czy jak rozstrzygający dzień pierwszej Marny!), zeszli się książęta i wodzowie, wymęczeni i głodni, w głównej kwaterze księcia Lotaryńskiego, w nawpół spalonym klasztorze kamedułów, gdzie ojciec Marco d'Aviano odprawił mszę św. Modlił się tu o łaskę Opatrzności Sobieski, czy modlił się także niedawny *abbé*—libertyn?"

Lecz ażeby tak pisać, trzeba nietylko kunsztu, trzeba polskiego serca, polskiej krwi, która — czujemy — jak tutaj pulsuje szybciej, rozgrzana wspomnieniem narodowej chwały, gdy kiedyindziej zalewa twarz rumieńcem wstydu przy rozpamiętywaniu historyj hańby i zdrady. Ale czy, bez tego głębokiego związku moralnego ze swem plemieniem, można wogóle zrozumieć tajemnicę jego przeszłości, czyż można kusić się o poznanie istotnego sensu jego dziejów?

JAN REMBIELIŃSKI

GŁOSY

DOKOŁA AKADEMJI LITERATURY. Krakowski „Ilustr. Kurjer Codzienny" ogłosił list otwarty p. Madeja, znającego zbliska stosunki w „Płomyku", wydawanym przez bolszewizujący zarząd Związku Naucz. Szkół Powsz.

Pan Madej oświadcza, że kiedy powstał w społeczeństwie hałas z powodu użycia „Płomyka" do propagandy bolszewizmu, Zarząd Związku zwrócił się do „Kurjera Porannego" o obronę. P. Rzymowski, Akademik Literatury,

„za artykuł w obronie „Płomyka" otrzymał 500 zł. (pięćset), „bo jest *spec* od demokracji i konserwy!" A specjalny numer „Kurjera Porannego", zawierający obronę „Płomyka" (16 marca 1936) i specjalnie rozesłany do wszystkich związkowców, też zrobił dobry interes, bo i reklama była i koszta tej reklamy pokrył Z. N. P.—około 5.000 zł. — pięć tys."

Nie dziwimy się pogłosce, jakoby K. H. Rostworowski wystosował list do Akademji, żądający usunięcia Rzymowskiego z fotela akademickiego. Żądanie trochę nierealne, bo Reżymowski jest kamieniem węgielnym Akademji.

*

Prezes Akademji Literatury, Wacław Sieroszewski, ogłosił w „Świecie" (nr. 27 z 4.VII) artykuł o Maksymie Gorkim, którego znał osobiście. Czytamy tam:

„Bosiak, włóczęga, nieposiadający nic i nieżądający od życia nic ponad kawałek chleba dla nasycenia głodu i uścisku kobiety dla nasycenia miłości..."

Akademja Literatury powołana została do życia przez p. Jędrzejewicza w celu pielęgnowania języka. Między innemi zadaniami dano jej misję poprawiania tekstów ważniejszych aktów państwowych. Jakże to może spełnić Akademik, „nieżądający nic" (nie żądający niczego) „ponad uścisku kobiety"? I wogóle ta „miłość", którą nasyca uścisk!

Artykuł kończy się makabrycznie:

„Prochy jego [Gorkiego] w asyście najwyższych władz sowieckich zamurowano w ścianie starożytnego Kremlu".

Do djabła! Nic o tem nie pisano, że i władze sowieckie zostały zamurowane...

O POJMOWANIU OBOWIĄZKU

MÓJ artykuł w „Myśli Narodowej" (nr. 26) p. t. „Głos ze Śląska" znalazł oddźwięk tam, gdzie ten oddźwięk musiał z natury rzeczy nastąpić, mianowicie w katowickiej „Polonii". Odpowiedziano mi tam w dniu 24.VI. b. r. w artykule p. t. „Na Śląsku". Ponieważ ośmieliłem się wypowiedzieć moje myśli najobjektywniej, by wszystkim Polakom, którym los Śląska niezupełnie jest obojętny, otworzyć oczy na źródła pewnych zjawisk śląskich, dotknąłem także roli „Chadecji" w kształtowaniu stosunków śląskich. Na mój sąd oczywiście wtedy się nie zgodzono. Zamierzam wobec tego Szanownym Czytelnikom i Szanownej Redakcji pisma „Polonia" jasno sprecyzować moje stanowisko.

„Polonia" w wspomnianym artykule nazywa „bałamuctwem" lub „uproszczeniem zapatrywań na sprawy śląskie", gdy wciąga się ją także w szeregi tych czynników, które są odpowiedzialne za dzisiejszy stan świadomości narodowej na Śląsku, a „Myśl Narodową" obwinia z tego powodu o bezkrytyczne zamieszczanie wiadomości, nie sprawdziwszy naprzód „słuszności spostrzeżeń autora".

Na to muszę oświadczyć, że w wypisywaniu moich twierdzeń kieruję się litylko dobrem narodu i troską o polskość ziemi, z której pochodzę, że znam stosunki śląskie o tyle lepiej, że oka nie zakrywa mi żadne bielmo partyjne, że nie miałem nigdy zamiaru przysparzać komuś sławy lub mu ją umniejszać, lecz chodziło mi wyłącznie o znalezienie bezstronnej oceny sytuacji i jej przyczyn, że odpowiedzialność za to co piszę spada na mnie. Po to się podpisuję. Natomiast za artykuł „Polonii" odpowiada całe pismo, brakuje bowiem indywidualnego podpisu.

Ponadto muszę zapytać: Gdzie w moim artykule jest twierdzenie, że Chrześcijańska Demokracja na Śląsku nie jest głównym ośrodkiem ruchu narodowego? Gdzie jest napisane, że Chrz. Demokracja nie posiada znaczenia dla rozwoju i sprawy polskości na Śląsku...? Gdzie tkwi nielogiczność w tem, że „skarżę się na tamowanie ruchu narodowego na Śląsku", a zaraz potem twierdzę, że „sanacja śląska i Chrześcijańska Demokracja niszczyła swoje siły na wzajemnem zwalczaniu się, zamiast razem ruszyć na odwiecz-

nego wroga? Uważniejsze czytanie mego artykułu tych zarzutów nie podniesie.

Pisze „Polonia": „ale skąd Polacy znaleźli się w szeregach *Jungdeutsche Partei*, *Volksbundu* a nawet N. S. D. A. B. w Polsce. Nie można tego wytłumaczyć jedynie nędzą, bezrobociem i agitacją niemiecką. Przyczyna tkwi w głębi. Leży ona w osłabieniu wiary w Polskę w masach ludności polskiej na Śląsku, w obniżeniu siły atrakcyjnej państwa polskiego w oczach tej ludności, podczas gdy, niema co ukrywać, hitleryzm dzięki środkom materjalnym i propagandzie w której wyręcza go i część prasy polskiej oraz nieporozumieniu, jakie wywołała fikcja przyjaźni polsko-niemieckiej i niezrozumiała tolerancja władz — wzmógł siłę atrakcyjną niemczyzny". Sądzę, że po tych słowach każdy uzna bezzasadność i bezcelowość zarzutów skierowanych przeciw „Myśli Narodowej" i mnie, tembardziej, że ewolucji nastrojów narodowych przyglądam się od dawna. Wyszedłem ze środowiska Chrześcijańskiej Demokracji. Znam jej organizację, metody, historję i ludzi dość dobrze, by mieć ustalony sąd o tem wszystkiem. Zresztą gdy na wstępie mego artykułu oświadczyłem, że N. S. D. A. P. na Śląsku a wzrost fali komunistycznej w Polsce są dziećmi tej samej matki: gospodarczej i politycznej nieudolności — to dla każdego przecież jest jasne, że każde dziecko prócz matki ma jeszcze i ojca.

Zgadzam się również z słowami „Polonii", że „nędza i bezrobocie jest tylko jedną z przyczyn, które osłabiły w masach polskich na Śląsku wiarę w Polskę, ale bynajmniej nie jedyną... Wyrok w procesie katowickim jest dla skazanych, którzy stanowią znikomą cząstkę zbrodniczego ruchu, bezpośrednią represją, dla innych ostrzeżeniem i groźbą. Ale bynajmniej nie rozwiązują samego zagadnienia. Aby je rozwiązać, trzeba zmienić wiele nietylko na Śląsku, ale i w całej Polsce. A przedewszystkiem trzeba sobie odważnie zdać sprawę ze źródeł zła i nie ukrywać prawdy". Otóż to. Trzeba sobie zdać sprawę ze źródeł zła i mieć odwagę wysłuchania prawdy!

A jaka jest ta prawda o sytuacji na Śląsku? Jasne jest, iż nie należy jak struś wtykać głowy w piasek. Jest niewątpliwie niedobrze, ale nie jest źle. Wojciech Korfanty bezspornie posiada niepodzielną zasługę w pracy nad odzyskaniem, przyłączeniem Śląska do Polski. Ślązacy powinni w nim widzieć naturalnego wodza i widzą go w nim. Jest on bowiem pierwszym Ślązakiem — Wielkim Polakiem. Gorycz jednak za nieuznanie jego zasług zepchnęła chadecję śląską na mylne drogi. Walcząc przez długie lata z wielką mocą w charakterze oponenta sama obniżyła prestiż naszych władz polskich na Śląsku i zaprowadziła nieświadomie wielu Ślązaków w szeregi germanofilów. Pewnie, że nie mogę twierdzić, iż członkowie obecni chadecji są germanofilami lub wrogami Polski. Wiemy, że są bezinteresowni w pracy dla Polski. Ale popełnili błąd. Ci, którzy sprzyjają obecnie hitleryzmowi, a—przed jego dojściem do władzy:—Niemcom, najczęściej czynią to pod wpływem tych wzajemnych, nieraz niegodnych tarć między chadecją a „sanacją" śląską. Stwierdzam to odważnie, otwarcie, ale i kategorycznie, choćbym miał stracić sympatje tych, których sympatja jest dla mnie bardzo cenna. Stwierdzam również, że pchnięto w tę postawę „korfanciarzy" krzywdą, jakiej doznali od strony sanacyjnej.

Opinja publiczna w Polsce musi nareszcie przestać myśleć w sprawach narodu kategorjami partyjnemi, czy też innemi, ale wszystko ważyć z punktu widzenia celowości i dobra narodu. Nie to powinno być sprawdzianem: czy dany krok jest pomyślny dla partji, jakiejś osobistości na służbie państwowej lub związanej z organem państwowym, lecz jaką pozycję to zajmuje w ogólnej polityce narodowej, jak wzmaga dobro i siłę narodu.

Niestety w Polsce, zwłaszcza ci, którzy kierują organizacjami i państwem, rzadko wykraczają poza granice ciasnego podwórka własnych lub partyjnych interesów. Nie potrafią wzbić się na wyżyny naprawdę wartościowego patrjotyzmu, któryby im dał moc uznania własnych błędów, a zalet przeciwnika. Ta nieszczęśliwa okoliczność jest chorobą nagminną we wszystkich przejawach naszego życia zbiorowego. Usunięcie tego dopiero stworzy atmosferę, w której losy narodu polskiego będą mogły się kształtować zdrowo.

ERYK KRZYKOWSKI

NAUKA i LITERATURA

„ORKA NA UGORACH"

TEGOROCZNĄ nagrodę literacką miasta Krakowa otrzymał zamieszkały w Krakowie wybitny powieściopisarz Jan Wiktor, za dzieło powieściowe p. t. „Orka na ugorach" (Lwów-Kraków 1935. Książnica-Atlas). Należy się temu cennemu studjum nietylko ogólna pochwała, lecz i bliższe wejrzenie w naukę z niego płynącą, jest to bowiem poważny przyczynek do poznania istniejących w kraju stosunków, zwłaszcza na polu szkolnictwa.

Nie można tej pracy kwalifikować do kategorji modnego rodzaju literackiego, jako że moda jest na szarego człowieka. Jest to studjum nad życiem ludu, pełne dręczącego niepokoju, natchnione troską o niski stan kultury nizin społecznych.

Piórem pisarzy włada zmysł społeczny, silniejszy od artystycznego. Nie zdają sobie z tego sprawy często oni sami. Jednym się zdaje, że lud jest tylko kwestją tematyki artystycznej, inni pragną na nim wycisnąć piętno jakiejś ideologji socjalnej, inni delektują się swojszczyzną narodową, ale w gruncie rzeczy powoduje ich duszą jakiś prometeizm, będący pragnieniem uszczęśliwienia ludzi. Najpospolitszą postacią tych pragnień jest idea podniesienia ludu na wyższy poziom oświecenia.

Wiele w tem jest serca humanitarnego, niemało ufności w dobroczynność cywilizacji, bardzo wiele patrjotyzmu. Poeci i powieściopisarze, ta awangarda tajonej w społeczeństwie myśli, pracują nieraz bezwiednie nad tem, co nazywamy samowiedzą narodu. Bywają różne fazy w tym procesie. Są okresy, kiedy nad zadaniami artyzmu góruje owa myśl społeczna i i manifestuje się hasłami, to znów artyści zapierają się tendencji społecznej. Mamy więc powieści artystyczne i tendencyjne.

Powieść Wiktora ma charakter typu mieszanego. Autor należy do gatunku pisarzy nie wstydzących się dydaktyzmu społecznego i uczuciowości; powieść jego ma wiele

wartości artystycznych, ale nie zataja idei propagandowej, wyraża ją już w tytule: „Orka na ugorach". Lud jest ugorem, który przeorują pługi kultury, potrzebnej światu cywilizowanemu. Wiktor ma na względzie ideję podnoszenia ludu zapomocą oświaty.

Do powieści swojej przystąpił z żarliwą wiarą w zbawienność tego środka. Żeby o tem przekonać czytelników, postanowił pójść w powieści drogą kontrastów: zorzom oświecenia przeciwstawił ciemną noc rzeczywistości sielskiej. Obraz ten rozwija na tle przyrody górskiej w Beskidzie, zapewne w okolicach Krościenka w Pieninach. Tak ciężkiej ciemności trudno znieść oku ludzkiemu. „Potęga ciemnoty" Lwa Tołstoja wydaje się być sielanką wobec tego, co wśród górali naszych dostrzegł Wiktor. Oto ów ugór, który szkoła ma uprawić.

Ideał zaś szkoły wyobraził autor w postaci młodej nauczycielki, prowadzącej niższą klasę w 7-klasowej szkole miejscowej. Tylko taki typ idealistyczny (podniesiona do potęgi kwalifikacja „Siłaczki" Żeromskiego) może tutaj cudu dokonać. Ogrom tego zadania przeraża czytelnika, boć to walka wątłej istoty anielskiej z żywiołem głęboko zakorzenionego zła, zadanie przerastające moc Herkulesa czy Tezeusza. Gdybyż jednak nauczycielka miała za sobą cały aparat szkolny i zwierzchność! Nieprawda—ona ma wszystkich przeciwko sobie: zwierzchność bo zbiurokratyzowana i próżniacza, kolegów—bo już opadli z sił i nie chcą walczyć ze złem. Życie silniejsze jest od wątłego statku szkoły, zalewa go falami i niesie gdzie chce. Położenie jest tragiczne.

Niczem są najdoskonalsze metody nauczania. Wierzą w nie jeszcze dusze naiwne młodych nauczycielek. Cudów dokonywają one na młodocianych duszach uczniów. Śliczny to materjał, żywotny duchowo, rwący się do słońca, ale cóż z tego, gdy między życiem wsi, a szkołą te dzieci są jedynym łącznikiem, a nieubłagana, twarda rzeczywistość porywa te dzieci w oczach i przerabia na swoją modłę. Syzyfowa praca!

Tragiczność polega na tem, że szkoła ma na widoku głód ducha, a życie ma na widoku coś dotkliwszego — głód ciała. Walka o byt na wsi jest tak straszna w beznadziejności, że szatan jest tutaj jak u siebie w domu. Piekło. Logika życia przemawia z kart tej powieści do społeczeństwa: dajcie tym ludziom trochę chleba, a przychylicie im nieba. Dosłownie tak. Tam w górach, gdzie tylko trochę owsa się rodzi, dzieci blade rozpowiadają dziwy o tem, że widziały, jak ktoś jadł chleb. Bułka pszenna należy do legend. Dzieci obdarte, często bez koszuli, w łachmanie zamiast obuwia, dwa razy dziennie spożywając trochę ziemniaków bez okrasy, dążą zimą do szkoły w ciężki mróz, by usłyszeć pogodne słowo z ust nauczycielki, a po powrocie do domu bite są kijami, według starego obyczaju, za to, że przynoszą ze szkoły nowy obyczaj.

Wyżyn tragikomedji sięga scena, opisująca przyjazd (pięknym samochodem) wizytatora od radosnej twórczości, deklamującego o „problemach". Na ego cześć odbywa się popis gimnastyki rytmicznej głodnych, przemoczonych dzieci przy śpiewie z refrenem: „a kuku".

Właściwą bohaterką powieści jest wdowa Malinowska, leżąca od lat na barłogu, sparaliżowana. Gospodarstwo i opieka nad chorą spoczywają w rękach trzech synków od 6 do 13 lat. Średni Alojzy jest uczniem, owym łącznikiem ze szkołą, okazem genjalności rasy. Choroba i nieszczęście domu mają w przekonaniu powszechnem przyczynę w rzuconych na Malinowską czarach. Wiara w siły nieczyste jest we wsi właściwą religją. Chrystus w kapliczce leśnej, Bóg w kościele są celem modłów o to, aby kazali Złu (sile nieczystej) zesłać nieszczęście na bliźnich. Z modlitwą na ustach czarownik podkłada pod próg zaklęte (z grobu wyjęte) środki, lub podpala chatę wroga. Bohaterem powieści jest właśnie taki czarownik, Biel, opętany od złego, modlący się o pomstę do Boga. W tej wsi, przez Wiktora opisywanej, za normalną rzecz poczytywana jest walka w rodzinie na siekiery. Synowie mordują ojca, ojcowie—dziadków, dzieci wołają o śmierć dla matki, chorą paralityczkę z dziećmi wyrzucają ojcowie na mróz, aby zająć izbę.

Życie tak przedstawione robi wrażenie jakiegoś straszliwego kłębowiska, pogaństwa, grzechu osobistego, nędzy i złości. To też czytanie powieści Wiktora połączone jest z wielką udręką. Nie pomaga to że tym okropnościom przeciwstawiona jest jutrznia młodości i niemal świętość męczeńska chorej kobiety. Owszem, przez kontrast ten tem gęstszy czyni się mrok. Nie pomaga też bogactwo opisów przyrody. Wydarzenia powieści dzieją się w zimie, która pomnaża uczucie mrozu, wiejącego od ludzi.

Kompozycja nie jest dostatecznie zabezpieczona od zarzutów. Pomyślana na wielkie stalugi, jest rozrzuconym obrazem bez punktu węzłowego, nad którego rozwiązaniem czytelnik mógłby pomedytować, uspokajając roztargane nerwy. Zbyt wiele rozwlekłości i epizodów, nie mających związku z wątkiem dramatu.

W naturze talentu Wiktora leży obrazowość. Agituje obrazami. Wkłada czasem w usta swych bohaterów rezonowanie, ale sam działa za pomocą nakładania farb — to jego agitacja i wyraz namiętności ideowej. Stąd pochodzi, że niektóre karty są za ciemne, inne zaś zbyt jasne, aż sentymentalne, gdy tamte wpadają w melodramatyczność. Niechęć do narracji sprawia, że obrazy trzymają się siłą przylegalności i wewnętrznie nie zawsze są dostatecznie wytłumaczone. Nie bardzo np. zrozumiały jest los — będący przecież osią powieści — samego Biela, niedość jasno bowiem autor przedstawił stronę prawną dramatu, mianowicie, jak to mogło się stać, żeby gospodarz mógł być wypędzony ze swego domu i pozbawiony swej własności. Wskutek takich niedociągnięć obraz robi wrażenie, jakby płótno się marszczyło i domagało się poklinowania „blejtramu".

Wracając do uwag, od których zacząłem, przyznać muszę, że „Orka na ugorach" stanowi jedno z wybitnych wydarzeń w literaturze powieściowej, kiedy powieść manifestuje swoją rolę społeczną, jako wywiad życia wewnętrznego, wyprzedzający wszystkie inne studja, czy naukowe czy administracyjne. W stosunku do ludu powieść stosuje metodę etnograficzną, niemal naukową, i to sprawia, że tak bezlitośnie cechy charakterystyczne życia dobywa. Ale właściwie wszystkie sfery społeczeństwa trzeba studjować, nie prześlizgując się konwencjonalnemi na życie towarzyskie poglądami. A wtedy przekonalibyśmy się, że we wszystkich sferach kultura duchowa jest równie niska i to nie dlatego, że to ugór, ale dlatego, że błoto, że zaniedbanie.

Z. W.

ZE ŚWIATA NAUKOWEGO

Pod koniec czerwca odbyło się doroczne posiedzenie Rady Naukowej Kasy im. Mianowskiego pod przewodnictwem prof. dr. Maksymiljana Matakiewicza z udziałem delegatów Polskiej Akademji Umiejętności, Uniwersytetów i Politechnik oraz Towarzystw Naukowych warszawskiego, lwowskiego, poznańskiego i wileńskiego.

Sprawozdanie z działalności Kasy w r. 1935 (prof. K. Lutostański) zaznacza, iż pewne wzmożenie działalności w roku sprawozdawczym Instytucja zawdzięcza życzliwej ofiarności na cele naukowe oraz ostrożności jaka cechowała poczynania Komitetu w okresie ogólnych trudności gospodarczych kraju. Wydatkowano na prace badawcze, na przygotowywanie do druku wyników badań, na zapomogi osobiste oraz na zapomogi dla Towarzystw Naukowych i na pomoc w naturze przeszło 130,000 zł.; na nagrody przeszło 9,000 zł.; na stypendja około 27,000 zł., na pożyczki uczonym i Tow. Naukowym przeszło 64,000 zł.; na wydawnictwa około 140,000 zł.

Wydrukowano 18 prac własnych, podjęto druk 13, kilka z nich ukazało się już w pierwszej połowie r. b. Udzielono bądź pomocy finansowej, bądź pomocy technicznej w wydaniu 25 wydawnictw. Kasa otrzymała 5 nowych zapisów, w tem 4 na cele naukowe i 1 na stypendja.

Rada przyjęła sprawozdanie, a potem wysłuchała referatu prof. M. Hubera na temat programu działalności Kasy. Referat ten wywołał ożywioną dyskusję, zwłaszcza przy omawianiu stosunku nauk teoretycznych do t. zw. praktycznych i konieczności zorganizowania prac bibliograficznych w celu należytego odnotowania i zebrania informacyj, dotyczących oryginalnego dorobku polskiego w różnych dziedzinach wiedzy.

W miejsce ustępujących członków Komitetu wybrano pp. profesorów: C. Białobrzeskiego i L. Szperla—ponownie— oraz dr. Z. Szweykowskiego i dr. B. Suchodolskiego.

Z RUCHU WYDAWNICZEGO

„Front ludowy" mobilizuje do walki z nacjonalizmem nietylko mężów stanu przemawiających z trybuny; ma on też swoich powieściopisarzy. Należy tutaj Tadeusz Ulanowski, który świeżo wydał powieść p. t. „Bank Chrystusa".

Jest to w założeniu paszkwil na ruch narodowy, ośmielający się zwalczać nacjonalistyczne dążności żydów. W celu zbałamucenia opinji autor ubrał swoją propagandę w szaty ideologji chrześcijańskiej i występuje w imię Chrystusa. Bohater jego, zwalczający nieprawości polskiego nacjonalizmu, ma tyle cnót, że w wyobraźni poetyckiej urasta ten zasób do rozmiarów... banku.

Skąd się wzięła taka wyobraźnia? Ulanowski pochodzi z Kazimierza nad Wisłą. Dziadek jego, jeden z Ulanowskich, szanownych mieszczan kazimierskich, ożenił się z Gertnerówną, córką zamożnego gdańszczanina, który, osiadłszy w Kazimierzu, złączył się przez związek małżeński z bogatą rodziną kupiecką żydowską.

Tradycje Esterki w Kazimierzu zawsze były żywe, a nikt tej okoliczności p. Ulanowskiemu nie wypominałby, gdyby nie konieczność wytłumaczenia, skąd się bierze w polskiej literaturze taka koncepcja: „bank Chrystusa"!

Umysłowość ludzi, łączących we krwi pierwiastki tak sprzecznych kultur, jak polska i żydowska, bywa bardzo często pastwą nurtujących ją sprzeczności. Na polu literatury ten niepokój skłóconej wyobraźni znajduje zwykle wyraz w stylu, pełnym kontrastów, paradoksów. Natury głębsze szukają sposobu scalenia sprzeczności w humorze nieraz wisielczym, natury zaś pustackie znajdują najwyższe zadowolenie estetyczne w kalamburach. Bank Chrystusa — to kalambur.

Ulanowski za młodu robił karjerę na kalamburach groteskowych. Przed wojną szereg lat bawił niemi niewybredną publiczność w słynnym kabarecie „Momusie", mającym scenkę w wesołej restauracji na placu Teatralnym (dzisiejsza Oaza). Wiele tam wypijało się wina, którem słuchacz gasił pobudzoną przez dowcipnego kuplecistę fantazję, rozkosznie zarazem ją podniecając. Były tam w owe czasy i ostrygi i kawiory. I tych sobie również nie żałowano, bo skoro „niewiadomo czy za dwa tygodnie nie będzie końca świata" to któżby sobie czego żałował.

Ulanowski był wtedy pocichu socjalistą, ale tą ideologją pochwalił się dopiero po wojnie za czasów Moraczewskiego. Wtedy zajął wysokie stanowisko w ministerjum pracy i opieki społecznej. Wszystkie strajki (także kalambury społeczne) były pod jego ojcowską opieką. Wszystko ma swój koniec, więc i strajk się kończy, zwłaszcza gdy zakończenie zaliczane jest na zasługę arbitra.

Dziś Ulanowski jest emerytem i pisze, jak widzimy, powieści. Przydał się Frontowi ludowemu. Trudno jednak takie rzeczy czytać. Ktoś cierpliwy recenzję o „Banku", zamieszczoną w bezstonnym dzienniku, zakończył temi słowy:

„Powieść p. Ulanowskiego jest lekturą uciążliwą, pełną dygresyj i kalamburów językowych, właściwszych w mowie potocznej, niż w utworze literackim. Artystyczny wyraz problematyki, tak gorąco w książce ujęty, nie przekonywa nas zupełnie. Jest to prymitywizm ideologiczny, bez jakichkolwiek transpozycyj artystycznych".

Oczywiście na obstalunek pisane. Z.

*

Stanisław Zieliński. „Dr. Józef Siemiradzki". Warszawa 1935. Wyd. Ligi Morsk. i Kol.

Autor przedstawia życiorys i prace podróżnika J. Siemiradzkiego, przyczem w komentarzach podaje w skrótach życiorysy i prace innych polskich podróżników w czasach zaboru. Nietylko żądza wiedzy skłaniała ich do przedsiębrania podróży do krajów egzotycznych. Wówczas w poszukiwaniu pracy masy ludu emigrowały za Ocean i były przedmiotem spekulacji biur okrętowych. Zachodziła więc potrzeba poznania terenów zachwalanych reklamą i zorganizowania opieki nad wychodźtwem.

Zasłużył się w tej dziedzinie dr. Stanisław Kłobukowski, pionier idei stworzenia „Nowej Polski w Brazylji" i założyciel „Przeglądu Emigracyjnego" we Lwowie. Dr. Józef Ungar, pionier ruchu kolonizacyjnego, jeden z inicjatorów i najczynniejszych członków Polskiego Towarzystwa Emigracyjnego, wydawca we Lwowie „Przeglądu Wszechpolskiego" i „Gazety Handlowo-Geograficznej", autor artykułu „Większa Polska", i wielu innych artykułów publicystycznych, jakoteż prelegent odczytów, w których zwracał uwagę na znaczenie osadnictwa i kolonizacji dla żywotności narodu. Podróżnik Jan Sztolcman, inżynier Rozwadowski, prof. Dunikowski, dali swymi dziełami podstawę dla rozwoju polskiej literatury podróżniczej.

Z treści krótkich, rzec można migawkowych komentarzy widać rozległość zainteresowań tych podróżników, geografów i przyrodników.

Polska nie posiadała i po wojnie światowej nie uzyskała żadnych kolonij i protektoratów. Jednak w dawnych latach nagromadzony materjał naukowy zachęca do czynienia uzupełnień badawczych, celem poznania obecnego stanu obszarów środkowej Afryki, Australji i rzeczypospolitych południowo-amerykańskich. Nieprzemijająca jest też wartość ogólnonaukowa tego materjału. I tak inż. Rozwadowski, major armji brazylijskiej, sporządził pierwsze zdjęcia topograficzne niezbadanych dotąd puszcz i lasów dziewiczych dorzecza Amazonki.

Wśród innych, jak np. dr. Hugo Zapałowicz, autor dwutomowego dzieła „Jedna z podróży naokoło świata", albo Rogoziński, ofiarodawca dla Muzeum Przemysłowego w Krakowie, swych zbiorów krajoznawczych z Afryki, dr. Józef Siemiradzki był może najwybitniejszą postacią w zakresie organizowania wychodźctwa polskiego pod względem narodowym i ekonomicznym. Również wydatnie za pomocą publikacyj w obcych językach współdziałał z ruchem naukowym zagranicy.

Studjum St. Zielińskiego podaje o tych wysiłkach wiele interesujących informacyj. (A. W.)

NOWE KSIĄŻKI

Rybarski Roman. Siła i prawo. Warsz. 1936. „Myśl Narodowa". Str. 160.

Wierzbicki Andrzej. W terenie i z trybuny. Warsz. 1936. Inst. wyd. „Bibl. Polska". Str. 127.

Ruch Literacki nr. 9—10 z r. 1935.

Sława Szczipljewa. Dari (Zbiór poezyj). Sofja 1934. Z portretem.

Tejże. Apokrifi. (Poezje). Sofja 1935.

Tejże. Polski poeti. Sbornik. Sofja 1935.

(Przekłady: Kasprowicz, Tetmajer, Staff, Wierzyński, Iłłakowiczówna).

Pietrkiewicz Jerzy. Prowincja. Poemat. Warsz. 1936. „Prosto z mostu".

Szpotański Stanisław. Czerwone maki. Powieść. Warsz. F. Hoesick.

Melcer Wanda. Dwie osoby. Powieść. Warsz. F. Hoesick.

Ulanowski Tadeusz. Bank Chrystusa. Powieść. Warsz. F. Hoesick.

Claudel Paul. Młodość Violeny. Przeł. Roman Kołoniecki. Warsz. 1935. „Droga".

Gide André. Persefona. Melodramat. Warsz. 1936. „Droga".

Valery Paweł. Utwory wybrane. Warsz. 1936. „Droga".

Sobociński Bolesław. Polskie wydawnictwa filozoficzne w l. 1918 — 1936. Warsz. 1936. Odbit. z „Nowej Książki".

Przegląd Filozoficzny. 1935 zesz. 4, 1936 z. 1. Warszawa.

Oświata Polska, zesz. 2. Warsz. 1936. Red. Józef Stemler (Krak. Przedm. 7. Rocznie 5 zł.)

ZMĄCONE POJĘCIA

PRASA narodowa w Poznaniu i Toruniu podała niedawno obliczenie pozycyj niemieckich w województwach zachodnich. Wynika z niego, że w ciągu ostatnich 10 lat niemczyzna odzyskała wiele pozycyj, które w popłochu w pierwszych latach powojennych opuściła. Utrzymała osady Komisji Kolonizacyjnej, nabyte po r. 1908, układem likwidacyjnym, a ponadto wykupiła kilkanaście tysięcy ha ziemi z rąk polskich. Rozbudowała swoje banki, swój przemysł i handel. Od września 1935 r. przypuściła szturm do szkół Już pierwszy atak dał Niemcom poważne zyski.

O Śląsku pisze w numerze z 9 stycznia 1936 r. „Gazeta Polska":

„Jak grzyby po deszczu w najbardziej polskich miejscowościach wyrastają ostatnio prywatne szkoły niemieckie i prywatne przedszkola. Bilans prywatnego szkolnictwa niemieckiego za ubiegły rok szkolny wskazuje wyraźnie na planową i z rozmachem prowadzoną akcję. W zeszłym roku otwarto cztery nowe szkoły powszechne wraz z przedszkolami w Piotrowicach, Krzyżowicach, Tychach i Wilczej Górnej. W trzech miejscowościach, a mianowicie: w Golasowicach, Mikołowie i Rybniku we wspaniałych nowo postawionych budynkach otwarto nowe przedszkola i to nieraz drugie z kolei.

W Rybniku założono szkołę robót kobiecych i gospodarstwa domowego, w Brzeziu i Golanowicach ma w niedługim czasie nastąpić otwarcie dwu szkół dokształcających, w Pszczynie i Chwałowicach postawiono nowe gmachy szkolne. Pozatem „*Volksbund*" planuje założenie ni mniej ni więcej tylko 12 szkół, przyczem pod niektóre posiada już zakupione place. A obok akcji szkolnej rozwija się w dziesiątkach organizacji ruch".

W podobnym duchu pisze „Czas" o Pomorzu.

Związek organizacyj polskich we Lwowie przed kilku laty przeprowadził obliczenie parcelowanej wielkiej własności ziemskiej za lata 1927—1929. W ciągu tych 3 lat, z każdych 100 ha parcelowanej polskiej ziemi przechodziło w ręce polskie 10,5 ha, żydowskie 0,5 ha, ruskie 89 ha. Przywódcy ukraińskiego U.N.D.O., Baran i Mudry, przedłożyli obecnemu rządowi żądania, aby rząd zaniechał wszelkiej parcelacji osadniczej, a dopuścił tylko parcelację uzupełniającą, sąsiedzką. Prasa ukraińska, zdając sprawę z zabiegów ich reprezentacji parlamentarnej, stawia sprawę jeszcze prościej, owe resztki, 500,000 ha polskiej własności ziemskiej, w 3 województwach południowo-wschodnich muszą w całości przejść w ręce chłopów ruskich.

Hasło to dziwnie przypomina mi dawniejsze: „Lachy za San". Urodzony i wychowany w niewoli, gdy ruch ukraiński, wspomagany przez Berlin i Wiedeń, brutalnie siał „czerwonego koguta" pod strzechy i gumna polskie, gdy hałaśliwie śpiewał nam: „*Ne pora Lachom służyty*", mam dziwnie wrażliwe ucho na odmiany tych starych haseł. Zapewne nie tylko ja. Zdajemy sobie przecież ogólnie sprawę z tego, że wśród zawsze możliwej zawieruchy międzynarodowej tylko te ziemie utrzymamy na pewno, które mieć będą silny, przeważający żywioł polski.

Dla wielu, zbyt wielu, wpływowych ludzi w Polsce, żywiołem bardzo w Polsce pożądanym jest bogaty żyd Prenn, uciekający z Niemiec do Polski. Dla wielu jest dobrem i naturalnem przyznanie praw obywatelskich wszystkim bezdomnym żydom, uciekającym z Rosji do Polski. Dla wielu nadawanie koncesyj monopolowych i przemysłowych żydom jest prostym wynikiem równouprawnienia obywatelskiego. Dla jednych porzucenie wiary i szeregów kościoła katolickiego na rzecz wiary luterskiej i prawosławnej to rzecz drobna, domowa czy osobista, którą nie należy zaprzątać opinji publicznej. Dla drugich obrządek wschodni jest lepszem związaniem nowonawróconych z państwem obrządku łacińskiego.

Są tacy, którzy w imię państwa skrępować chcą naród i wszystkie jego ruchy poddać pod ścisłą oberwację władz państwa. Min. Janusz Jędrzejewicz w latach 1932 i 1933, a więc w latach ciężkiego kryzysu dla społeczeństwa i dla skarbu państwa, organizował przy inspektoratach szkolnych powiatowych instruktorów oświatowych i opłacał ich z taks administracyjnych, nakładanych na młodzież szkolną, bo nie miał zaufania do polskich Towarzystw oświatowych; zakładał nowe pisma, tworzył „Tow. Krzewienia Kultury Teatralnej", aby przez nie położyć rękę na teatrach stolicy; opłacał „Legjon młodych" i „Straż Przednią", aby mieć swoje posłuszne narzędzie wśród młodego pokolenia. Komisarz rządowy zjawiał się zrazu tylko w antyżydowskim „Rozwoju", w niesanacyjnym Związku inwalidów, w radach miejskich i wiejskich, w warsz. Resursie obywatelskiej. Potem „komisarz" przytył i rozrósł się. Wlazł do sanacyjnej „kwoki", do sanacyjnego Związku Legjonistów (Lwów), do Związku Osadników (Wołyń), do Legji Inwalidzkiej, do sanacyjnych Związków zawodowych, do cechów rzemieślniczych. Wszystko to dzieje się w imię państwa i jego celów a dla opanowania „mało zdyscyplinowanych" odruchów narodu. Naród nie może się sam organizować ani sam rządzić—musi mieć kuratora.

W czasach niepodległości w „sanacyjnem" powietrzu naród polski gdzieś się zagubił w rachunku politycznym, nawet w samopoczuciu swojem przez to zmalał. Traktowany bowiem jest jak niesamodzielne dziecko.

Nie chcę przeczyć nowym i wielkim zadaniom, które ma spełnić państwo polskie. Nie zamykam oczu na konieczność patrzenia na całość z punktu państwa. Ale — dodać muszę i silnie podkreślić, że przez to rozumiem państwo narodowe. A organizacja państwa posłużyć ma nam także i do tego, byśmy zamietli nasz dom ze wszystkich międzynarodowych śmieci, które nam przyniosły dawne wieki lub niewola.

Tylko państwo narodowe przetrwać może burze dziejowe. Tylko naród oparty o własną ziemię i świadomość narodową, nie zginie. S. R.

NA MARGINESIE

Między redaktorami:

— Widziałeś pan, Negus ogłasza swoje pamiętnik w „Kurjerze". Miałeś pan kiedy takiego współpracownika?

— Moi współpracownicy wszyscy są nygusi.

— Negus może sobie powiedzieć: niema tego złego, coby na dobre nie wyszło. Taka popularność!

*

— Zdaje się jednak, że Negus nieszczególnie wyszedł na Edenie.

— Akurat tak samo jak Eden na Negusie.

— Negus myślał, że Anglja — to Eden. Anglja myślała, że Abisynja to jej przyszły eden kolonjalny...

— Obopólne rozczarowanie.

*

Pan prezes Parylewicz przychodził do biura punktualnie o godz. 8 rano. I to mu się chwali. Ale czy nie lepiej byłoby dla państwa, żeby wcale nie przychodził?

*

Stary gospodarz rozmawia z nowonabywcą majątku ziemskiego.

— Główna rzecz — mówi nowicjusz — rygor, panie. U mnie wszystko jak w zegarku. O 5-ej rano idę na gumno. Niechby, panie, który nie był na nogach, jabym go, panie...

— Rozumiem, ale czy pan wie, jaką robotę ma kto robić?

— Na tem ja się, panie, nie znam. Od tego jest karbowy, od tego ekonom.

— A ten ekonom dobry gospodarz?

— On też, panie, o 5-ej na nogach. U mnie, panie, jak w zegarku.

TREŚĆ:

Adres Redakcji: Mokotowska 11 m. 5. Tel. 9. 25-46. Adres Administracji: Al. Jerozolimskie Nr. 17. Tel. 9-87-90.

PRZEDPŁATA kwart. zł. 9, półrocznie zł. 17, rocznie zł. 32, zagranicą kwart. zł. 12, półroczn. zł. 24, rocznie zł. 45.
Konto czekowe na P. K. O. 3.105.

Redaktor naczelny i wydawca: ZYGMUNT WASILEWSKI. Redaktor odpowiedzialny: JAN REMBIELIŃSKI.

Druk. SPOŁECZNA. Pl. Grzybowski 3/5. Tel. 205-80. PRZESYŁKA POCZTOWA OPŁACONA RYCZAŁTEM.